# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 24. WARSZAWA, 17 MAJA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

## SPRAWA PRUS WSCHODNICH

W PRASIE stołecznej ukazała się notatka o artykule, zamieszczonym w paryskiej „*Revue des Minorités Nationales*", poświęconym sprawie nie „korytarza" a Prus Wschodnich. Autor jego porusza sprawę podziału tego terytorjum. Jest dobrym objawem, że w prasie europejskiej znalazł się ktoś, kto zagadnienie rewizji traktatów ujmuje objektywnie, zdając sobie sprawę z tego, że żadnej wogóle kwestji „korytarza" niema, a jeżeliby kto w tej części Europy chciał koniecznie poszukiwać kwestyj, to mowa mogłaby być tylko o kwestji Prus Wschodnich.

Czem są Prusy Wschodnie?

Kolonją niemiecką, otoczoną ze wszech stron elementem słowiańskim i litewskim. Oprócz tego ich część jest niewątpliwie polska („mazurska"). Kolonja ta jest słabą gospodarczo i coraz słabszą liczebnie.

Oddawna już wśród ludności tamtejszej rozwija się tendencja do emigracji, zagranicę albo do Niemiec właściwych. Emigracja ta jest stałą albo sezonową. Mieszka tam np. wielu byłych robotników w fabrykach i kopalniach niemieckich, którzy żyją z emerytur i rent. Emigracja ta byłaby daleko silniejsza, gdyby nie wysiłki rządu niemieckiego, który nie szczędzi ogromnych ofiar na „*Osthilfe*".

Niewiadomo wogóle, coby się z tym krajem stało bez tej ciągłej pomocy rządu Rzeszy. Prusy Wschodnie są krajem zrujnowanym ekonomicznie. I to nietylko dlatego, że są z natury ubogie, ale przedewszystkiem, że są odcięte od swojego naturalnego zaplecza — polskiego Mazowsza. Dla Niemiec gospodarczo są tylko ciężarem.

Mają one dla nich inne znaczenie — czysto polityczne. Tworzą łączność terytorjalną i drogę dla wpływów niemieckich na Litwie, a za jej (i Łotwy) pośrednictwem połączenie lądowe z Sowietami. Dalej szachują Polskę od północy, a przedewszystkiem zagrażając jej dostępowi do morza, ułatwiają i umożliwiają najważniejsze w chwili obecnej zadanie niemieckiej polityki odwetowej.

Dlatego też znaczenie, jakie im się przypisuje, pomoc jaką się daje, to między innemi także wyniki nacisku, wywieranego przez sztab niemiecki, powodujący się względami czysto militarnemi.

Prusy Wschodnie są narzędziem tej polityki niemieckiej, która dąży do porozumienia z Sowietami, odwetu i zburzenia dzieła traktatów. Bez ich posiadania, polityka ta dla Niemiec byłaby bardzo utrudniona.

Są w Polsce różne zapatrywania na zadania naszej polityki zagranicznej. Jedni widzą je tu, drudzy tam. Ale niema u nas takiego obozu, któryby nie zdawał sobie sprawy z dwu rzeczy: 1) posiadanie przez nas dostępu do morza jest warunkiem *sine qua non* istnienia Polski, jako państwa w całem tego słowa znaczeniu niezależnego, 2) w tej sytuacji, jaka istnieje dzisiaj, ten dostęp jest stale bezpośrednio zagrożony, raz przez samo, bardzo niekorzystne, położenie terytorjalne, potem przez to, że to ostatnie ułatwia i pobudza zapędy polityki, zmierzającej do zniszczenia tego dostępu.

Podobnie jak Prusy Wschodnie cierpią na odcięciu od Polski, tak samo i nasze ziemie graniczące z niemieckiemi. Oddawna Prusy stanowiły dla nich teren ekspansji ludnościowej. Dziś, przy

tak niepomyślnych warunkach ruch ten trwa, zwalczając wszelkie przeszkody. Podczas zatem gdy ludność niemiecka ucieka stamtąd, to ludność polska z południa napiera tam siłą naturalnej ekspansji. I kraj ten jej rzeczywiście potrzebuje. Egzystencja niejednego obszarnika niemieckiego z Prus Wschodnich byłaby niemożliwa bez polskiego robotnika. Pomimo wszystkich niepomyślnych dla nas konsekwencyj, które pociąga za sobą tego rodzaju poronione rozwiązanie kwestyj terytorjalnych: stworzenie enklawy pruskiej, Polska w imię utrzymania pokoju i poszanowania *status quo*, ustalonego w traktatach, nie występuje z żadnemi hasłami rewizjonistycznemi. Polityka nasza, jak rzadko która, zasługuje na miano, „*une diplomatie conservatrice*". Jak daleko posuwamy się na drodze *maximum* kompromisowości i dobrej woli względem Niemiec, wiadomo aż nadto dobrze.

Nie mniej jest faktem, ze sprawa ta t. zw. rewizji traktatów jest systematycznie i intensywnie propagowana w całym świecie. Wobec tego musimy się zawsze liczyć z możliwością postawienia jej konkretnie na porządku dziennym. Stosunek nasz do tej sprawy nie jest właściwy. Niemcy stawiają swoją tezę rewizji granic. Na to my odpowiadamy negacją—że rewizji nie chcemy—i na tem koniec. Otóż nie powinniśmy na tem poprzestawać, ale musimy mieć także tezę własną. Kto stale na pretensje odpowiada tylko negacją, zawsze wkońcu będzie musiał ustąpić. Stanowisko i taktyka, jakiej my się trzymamy, są błędne psychologicznie. Dalej: Niemcy powiadają, że te a te postanowienia traktatów są niedoskonałe, i że mogą i powinny być poprawione w pewien sposób. Twierdzenie, że te postanowienia są doskonałe, jest absurdem, bo doskonałe dzieło ludzkie jest wogóle niemożliwe. Twierdzenie, że nie można ich poprawić, jest też błędne, bo każdy błąd można naprawić, (coprawda w praktyce można go naprawić tylko w części) i zasadniczem dążeniem umysłu ludzkiego jest ciągłe ulepszanie istniejącego stanu rzeczy. Postawienie sprawy, że rewizja jest wogóle niemożliwa i szkodliwa, jest nierealne. Twierdzenie, że jest ona zasadniczo sprzeczna z naszym interesemi i nteresem społeczności międzynarodowej, jest nieprawdziwe.

Nasza teza winna brzmieć: W chwili obecnej nie można myśleć o poprawianiu granic, gdyż nie sprzyjają temu warunki. Zasadniczo jednak rewizja jest pożądana, a mianowicie taka a taka. Zatem jaka?

Nie może być, ani dla jakiegoś państwa, ani dla społeczności międzynarodowej szkodliwe, co zostało przeprowadzone zgodnie z zasadami słuszności i z ich interesami.

Takie rozwiązanie, kiedy wchodzą w grę interesy sprzeczne, jest niemożliwe. Należy jednak dążyć do tego, by o ile możności jaknajbardziej oszczędzać interesy żywotne narodów, t. j. takie, których pogwałcenie naraża na szwank ich egzystencję.

Jeżeli miałaby być podniesiona kwestja rewizji granic, jakież byłyby sposoby rozwiązania naszego problemu, któremu nie można dać innej nazwy, jak kwestja enklawy pruskiej? Żeby nie było kwestji enklawy, trzeba żeby nie było enklawy. Są dwie drogi jej zniesienia. Albo połączenie Pomorza z Rzeszą, albo odłączenie Prus od Rzeszy.

Która z tych dwóch odpowiada bardziej postulatowi poszanowania interesów żywotnych?

Mówiliśmy już, czem są obie te dzielnice dla Polski i Niemiec.

Dla Niemiec Prusy Wschodnie są przyczepką, pod względem życia gospodarczego pozostającą całkowicie na boku, wprost szkodliwą. Mają one dla nich znaczenie ze względu na interesy polityczne, które bynajmniej nie wchodzą w dziedzinę interesów żywotnych. Naodwrót polityka, do której Prusy są im koniecznie potrzebne, jako godzące w podstawy prawa publicznego Europy i w ustalony układ sił międzynarodowych, jest dla społeczności międzynarodowej niebezpieczna. Jeżeli chodzi o ten moment zatem, oddanie Niemcom Prus Wschodnich, jednego z głównych narzędzi tej polityki, miałoby tylko dla tej społeczności i dla bezpieczeństwa i spokoju Europy skutek dobroczynny. Rozwiązanie takie, z pośród wszystkich, innych jest najbardziej zgodne z zasadami, głoszonemi przez uczciwą doktrynę pacyfistyczną, w której naczelne miejsce słusznie zajmuje pogląd, że ambicje polityczne i dążenia zaborcze winny ustąpić na drugie miejsce wobec interesów zbiorowości.

Jakież skutki dla społeczności narodów, w pierwszym rzędzie europejskich, miałoby rozwiązanie naszego zagadnienia, tak, jak tego chce idea nacjonalistyczna niemiecka, stojąca na stanowisku odwrotnem, stawiająca na pierwszym planie swój egoistyczny interes — przez oddanie Pomorza Niemcom.

Przedewszystkiem z punktu widzenia czysto objektywnej sprawiedliwości: w takim razie pod panowanie niemieckie musiała by się dostać większa ilość Polaków, niż ta ilość Niemców, która dostałaby się Polsce, w razie poddania Prus Wchodnich pod jej pełną suwerenność, (do czego niktby zresztą nie dążył). Podobnie co do powierzchni tych terytorjów.

Daleko ważniejszemi są jednak inne konsekwencje, któreby wynikły z tego dla Polski. Już przez ten sam fakt w krótkim czasie stałaby się ona państwem trzeciorzędnem, w zupełności zależnem wraz z Litwą, Łotwą, Czechosłowacją i Węgrami od Niemiec. Byłaby to pierwsza serja ich trjumfów, wpadnięcie pod ich hegemonję innych państw Europy Środkowej. Bułgarji, Rumunji i ewentualnie Grecji i Jugosławji poszłoby wprost auto-

matycznie. Dziwny naprawdę człowiek mógłby przypuszczać, że Niemcy w takich warunkach powstrzymaliby się od odwetu na zachodzie, i to takiego jaki zapewne trudno sobie może wyobrazić umysłowość locarneńska. Taka ewentualność zresztą nie byłaby jeszcze jedyna

Nie możemy tu tracić z oczu jednego czynnika, — Polska sąsiaduje z Sowietami. Odebranie jej Pomorza grozi upadkiem gospodarczym, który może doprowadzić do wybuchu rewolucji komunistycznej. W sytuacji takiej, jaka dziś istnieje, przypuszczalne opanowanie Polski przez komunizm wywołałoby napad Sowietów na Rumunję, pod pretekstem odebrania Besarabji. Konsekwencje jednego i drugiego dla Europy są wystarczająco jasne. Te rzeczy są wogóle łatwo zrozumiałe i nie wymagają tak wiele wyjaśnień.

Utrata przez nas Pomorza byłaby dla Polski i dla świata katastrofą, gdyż musiałaby spowodować wzmożenie się niebezpieczeństwa niemieckiego i komunistycznego. Jest jeszcze pytanie zresztą, jak to ostatnie zniosłyby Niemcy same.

Stan obecny nie jest coprawda katastrofalny, ale jest niemniej stanem nienormalnym i kryjącym niebezpieczeństwo katastrofy.

Odebranie Niemcom Prus Wschodnich nie byłoby katastrofą dla nikogo, zlikwidowałoby stan, zagrażający katastrofą, byłoby nawet reformą pomyślną i dla Europy i dla Niemiec, (mówimy o rzeczywistych i słusznych interesach tego kraju, a nie o propagandzie i planach twórców i marzycieli imperjalizmu niemieckiego) i dla Polski. W szczególności, o ile idzie o Niemcy, to obcięcie im chorej i zbytecznej części ich organizmu państwowego, skompensowane słusznem w takim wypadku oddaniem im Austrji, nie wywołałoby tam żadnego kryzysu, w żadnym wypadku, nie groziłoby komplikacjami rewolucyjnemi, czy czemś w tym rodzaju.

Oczywiście, że co do samych Prus Wschodnich, odłączenie ich od Niemiec musiałoby być dokonane z poszanowaniem zasady samostanowienia narodów. Rozwiązanie takie nie nastręczałoby żadnej trudności, gdyż zasada ta była w dyplomacji polskiej stawiana zawsze na jednem z naczelnych miejsc, bezpośrednio po zasadzie obrony żywotnych interesów. Polska nie potrzebuje sztucznego zwiększania swego obszaru terytorjalnego, coby miało za rezultat tylko zmniejszenie wewnętrznej jednolitości i kohezji narodowej naszego Państwa. Samostanowienie to musiałoby mieć oczywiście pewne granice, mianowicie te, które dyktuje właśnie postulat obrony interesów żywotnych państwa, w tym wypadku gospodarczych, politycznych i militarnych.

Sprawa enklawy pruskiej nie wymaga zbyt daleko idących wywodów. Dla znawcy stosunków i położenia Europy powojennej jasne jest, jaka droga będzie tu zgodna z wielkiemi, bezstronnie i realnie, a nie tendencyjnie tłumaczonemi interesami pokoju i sprawiedliwości wśród narodów.

AD. B.

# ZE WPOMNIEŃ LWOWSKICH

Zdzisław Dębicki[1]) wydał świeżo część drugą swoich „Wspomnień". W części pierwszej („Grzechy młodości" — pisałem o nich szerzej rok temu w „Myśli") zebrał autor „wspomnienia" z czasu pobytu swego na wygnaniu w Orsku (gub. Orenburska); w drugiej („Iskry w popiołach", nakład Ks. Św. Wojciecha, str. 293) wspomina o tem, jak i z kim żył w przeciągu czterech lat (1895 — 1899) we Lwowie, dokąd, powróciwszy z orenburskiego wygnania, udał się dla ukończenia przerwanych studjów uniwersyteckich.

Jako słuchacz uniwersytetu, działacz narodowy, dziennikarz, wreszcie próbujący lotu poeta — gdyż tem wszystkiem był autor na bruku lwowskim — zetknął się Dębicki tam — na powyższych polach swojej działalności — z szeregiem jednostek wybitnych, o których wspominając mówi, jak na niego oddziałały, co im zawdzięcza pod względem duchowym.

Więc najsampierw wspomina swoich profesorów z wydziału prawnego (Oswalda Balzera, Starzyńskiego, Głąbińskiego, Twardowskiego i p. in.), podnosi wysoki poziom ich wykładów, i wyznaje, że dzięki tym światłym przewodnikom, pod ich wpływem „niepostrzeżenie się europeizował" i zaczął patrzeć na świat nietylko przez zakratowane okna polskiego więzienia, że słowem wyrastał z jakiegoś półbarbarzyństwa i wchodził w okres rzeczywistej cywilizacji.

Świadomość podobnych przekształceń otwiera mu oczy na te dodatnie strony ówczesnego życia polskiego we Lwowie, o których mieszkaniec Warszawy, zwłaszcza Warszawy radykalnej, t. j. konspirującej i urządzającej manifestacje patrjotyczne, niezawsze dokładne miał wyobrażenie, a często nawet osądzał fałszywie i odzywał się o nich z lekceważeniem.

Porównywając Lwów ówczesny z Warszawą, autor powiada, że przekonał się rychło, iż Lwów stawał się miastem w całem znaczeniu tego pojęcia europejskiem, mającem niejedną cechę tej europejskości wyraźniejszą niż Warszawa. Lwów było to podówczas miasto inteligencji, stawał się ośrodkiem samodzielnym polskiego życia duchowego, umysłowego i artystycznego. Sprawy nauki, literatury i sztuki miały tu daleko mniej ludzi obojętnych, niż w Warszawie, gdzie brały już przewagę w życiu publicznem warstwy przemysłowo-handlowe, goniące za korzystnemi aferami.

Uwagi słuszne, na które wszakże niełatwo było zdobyć się, zwłaszcza komuś, kto należał do młodzieży warszawskiej, żyjącej poczuciem wyższości Królestwa, pod względem uczuć i aspiracyj narodowych, nad innemi dzielnicami Polski. Miała

[1]) Artykuł niniejszy, napisany kilkanaście dni przed zgonem ś. p. Z. Dębickiego, dajemy jako jeden z licznych wyrazów uznania, jakiem się cieszył zasłużony pisarz.

bezsprzecznie Warszawa prawo nosić się dumnie wobec innych miast polskich, lecz nadużywała tego prawa i cokolwiek przesadnie oceniała swoje zasługi.

Wśród młodego pokolenia byli tacy, co już podówczas nieco krytycznem okiem spoglądali na wartość życia narodowego w zaborze rosyjskim i usiłowali wprowadzić do niego pierwiastki bardziej żywotne.

Z takimi spotkał się Dębicki dopiero we Lwowie, a nie w Warszawie, chociaż byli to czystej krwi warszawiacy, mianowicie Roman Dmowski i Jan L. Popławski, który — jeden po drugim — przekroczyli, w czasie przybycia autora do Lwowa, „zieloną granicę”, i, po odbyciu w Warszawie „powinności więziennej” — jak się wyrażał Popławski — żeby nie ulegać jej częściej, osiedli nad Pełtwią, by tu następnie rozwinąć tę płodną działalność publicystyczną („Przegląd Wszechpolski”, „Polak” i t. p.) i organizacyjną, która myśl narodową wyprowadziła z ciasnych opłotków dzielnicowych, a ruchowi narodowemu nadała kierunek i cel wyraźnie wszechpolski.

Dmowskiemu i Popławskiemu poświęca autor osobne rozdziały w swojej książce, w których szkicuje ich wizerunki duchowe, podnosi wysokie przymioty charakteru i niepospolitego umysłu, wspominając chwile z nimi przeżyte tak, jak się tylko wspomina najlepsze zdarzenia życia, oni bowiem powołali go do pracy narodowej, wzmocnili w nim wiarę w przyszłość Polski, nauczyli realnie myśleć o niej i wypełnili świeżą treścią duszę jego po brzegi.

Wspomnienia o Dmowskim i Popławskim, poza trafnością charakterystyki, przynoszą sporo szczegółów, mniej znanych szerszemu ogółowi ich wyznawców, faktów niepozbawionych znaczenia dla historji początków ruchu, który przybrał następnie nazwę narodowo-demokratycznego.

Z niemniejszem uczuciem uwielbienia oraz wdzięczności wspomina dalej Dębicki Jana Kasprowicza, z którym spotkał się poraz pierwszy we Lwowie, a który go odrazu serdecznie przygarnął i zbliżył do siebie, jako młodszego brata w Apollinie, chociaż miał tu do czynienia z nieznanym jeszcze nikomu poetą, a sam już dosięgał szczytu swej sławy poetyckiej.

Na kartach książki Dębickiego przeciągają wciąż przed nami rozmaici jego znajomi z czasów lwowskich: profesorowie, koledzy dziennikarze i literaci, politycy i działacze społeczni, — ludzie większej bądź mniejszej miary, znaczenia i wartości, z którymi w ciągu czterech lat obcował. W tem, co autor mówi o nich wszystkich, jak ich, po wielu latach, wspomina, uderza jedno — mianowicie niesłychanie życzliwa, bez śladu żółci i złośliwości, ocena ludzi, wysuwanie na plan pierwszy ich cech dodatnich, a niespostrzeganie bądź usprawiedliwianie stron mniej chwalebnych.

O każdym ze swoich znajomych lwowskich ma autor do powiedzenia jakieś dobre słowa, każdemu wyraża, za to lub owo, serdeczną wdzięczność, od każdego — wyznaje — czegoś się nauczył bądź doznał pomocy, o każdym przechował najlepszą pamięć.

Tego rodzaju — dobrotliwy i wyrozumiały — stosunek do ludzi rozmaitego gatunku, wśród których nie każdy przecie był z jednego bloku wykuty, rzuca prawdziwie dodatnie światło na samego autora „Iskier w Popiołach“, jako na jednostkę wrażliwą przedewszystkiem na to, co jest dobre w naturze ludzkiej.

Sądzę, iż będę wiernym tłumaczem usposobień Dębickiego, jeśli powiem, że podług niego, tylko to, co dobre, zasługuje na trwałą pamięć, — reszta zaś powinna być oddana zapomnieniu.

To pewna, że z tego rodzaju usposobieniem, w takim stanie duszy pisał on swoje wspomnienia z czasów lwowskich.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

# MUZYKA PODHALA

PODHALE ma swoją muzykę odrębną, swe tańce, swe pieśni, i niezaprzecznie swą melopeję oryginalną, różniącą się silnie od wszelkiej innej, tej zwłaszcza z nizin. Jeżeli ogólnie uważamy za ludową wszelką muzykę prymitywną, graną i śpiewaną na wsi, a wyrosłą z jakichś instynktów, nie kierowanych niczyją ręką i niczyją wolą — przynajmniej napozór; to w tej prymitywności góry przewyższają jeszcze muzykę nizin, co prawdopodobnie ma swoje uzasadnienie osobne, na które nie zwracamy może dostatecznej uwagi, ale które bez trudności wyrozumować się daje.

Nie trzeba tylko zbytnio polegać na stwierdzeniu, jakoby muzyka ludowa stanowiła jakiś świat zupełnie odrębny, nie mający nic wspólnego z muzyką artystyczną. Bo w rzeczywistości, przedstawia ona to samo, tylko w stanie bardziej pierwotnym. W niektórych swych szczegółach zdaje się nawet silniej domagać pewnych, zupełnie podstawowych praw, niż muzyka kunsztowna. Świadczy o tem fakt, że przed wiekami lud, idąc za instynktem jedynie, wcześniej wyrobił sobie i ustalił dwa zasadnicze i panujące dziś niezmiennie typy gam twardych i miękkich (*dur* i *moll*), niż świat chlubiący się uczoną, kunsztowną muzyką. Gdy śpiewak kościelny trzymał się tonacyj liturgicznych, pochodzących od muzyki starożytnej greckiej, to śpiewak lub muzykant wiejski, czy on melodje swe układał nad brzegiem Śródziemnego morza czy między Wartą a Wisłą, czuł się bezwiednie pociągnięty w kierunku pewnego, jasno wypowiedzianego nastroju radosnego — *dur*, lub smętnego — *moll*. Fakt, że wśród naszych ludowych melodyj pojawiają się tonacje kościelne, jak wiadomo, nie wypowiadające się tak wyraźnie w kierunku *dur* lub *moll*, wcale rzeczy nie zmienia. Ilość ich bowiem nie jest tak wielka, aby to miało zaważyć stanowczo, a przytem niekiedy możnaby nawet przypuszczać, że lud nasz tylko pewne zwroty upodobał sobie (np. kwartę zwiększoną gamy lidyjskiej) i te stały się charakterystyczną cechą naszej pieśni ludowej niektórych okolic.

Rzeczą najbardziej uderzającą przy rozpatrywaniu melodyj Podhala, jest to, że stanowią one jakoby kompleks odrębny, niby jakiś blok skalny. Na melodjach nizin widoczny jest wpływ muzyki kunsztownej międzynarodowej, chociaż nieraz nie umielibyśmy wskazać dokładnie, jaką drogą wpływ ten oddziaływał. Tatry nie były tak dostępne dla wszelkiego rodzaju nalotów. Coś niecoś przedostało się na te wyżyny z dolin polskich, lecz niewiele. Podobnie i ze strony węgierskiej zaleciał niejeden zwrot charakterystyczny. Razem wziąwszy jednak, za bardzo ciekawy wypadek musimy uważać, iż na stojeden pieśni, które w tej chwili mamy przed sobą, tylko trzy są w tonacji minoro-

wej, zresztą wszystkie mają tonację twardą, z tym wspomnianym czwartym podwyższonym stopniem. Podobnie przedstawia się sprawa z rytmem, zarówno branym cząstkowo w obrębie taktu jak i w budowie całej melodji. Z wyjątkiem paru zaledwie melodyj, wszystkie są w takcie dwućwierciowym, budowa zaś wykazuje zamiast zwykłych czterotaktów najczęściej — pięć, co bezsprzecznie należy do bardzo charakterystycznych znamion muzyki Podhala.

Owe stojeden melodyj, o których mowa, znajdujemy po raz pierwszy w pięknej książce Stanisława Mierczyńskiego, wydanej przez „Książnicę-Atlas“. Niektóre z nich były już używane przez muzyków polskich, Żeleńskiego i Paderewskiego, w kompozycjach jak „Tatry” lub „Album Tatrzańskie”. Ale tu występują w całej swej prymitywnej prostocie, ściśle według oryginału ludowego, dotąd nigdy przez nikogo nie spisywanego, wolne od jakichkolwiek ornamentów, upiększeń i zmian, a co najważniejsza i od harmonizacji, którą nasi kompozytorowie, smakiem artystycznym kierowani, naprawiali, jak im się to wydawało wskazane, aby rzecz miała całość eufoniczną. A w ludowym oryginale właśnie harmonja brzmi bardzo twardo, i bezsprzecznie ona nadaje melodjom charakter tak bardzo odrębny, nie mający nic prawie wspólnego z cywilizowanym dźwiękiem muzyki na nizinach. Jeżeli Mierczyński zadał sobie sobie tyle trudu, aby muzykę Podhala przedstawić w partyturce t. j. w oryginalnym układzie na dwoje skrzypiec i dwa basy, to trzeba mu przyznać wielką w tem właśnie zasługę, że po raz pierwszy wypisał to, co muzykanci góralscy nieświadomi sztuki pisania nut, tylko z głowy wygrywali, idąc w tem bądź za tradycją, bądź za własnym instynktem.

Ujęcie tej muzyki poprostu dzikiej w jakąś uchwytną formę, nie należy bynajmniej do zadań łatwych, już z tego powodu, że w miejscowościach rozmaitych melodje nie bywają grane jednolicie. Jedyną więc drogą jest trzymanie się autorytetów miejscowych. Taki Sabała, Gąsienica, czy Obrochta, muzykanci uzdolnieni, a świadomi wszystkich pieśni, melodyj i tańców w szerokim promieniu całej okolicy, mogli dawać informacje wiarogodne. Rzecz prosta, że do każdego z nich trzeba się było zwrócić w sposób zręczny. Nic bowiem łatwiejszego jak paść ofiarą swej ciekawości. Taki muzykant góralski, ujrzawszy przed sobą bylejakiego „cepra”, naciągnąć potrafi go doskonale, będzie mu wygrywać nieraz Bóg wie co, byle mu zaimponować swoją znajomością wszystkich okolicznych melodyj.

Autor książki „Muzyka Podhala”, skrzypek (uczeń Barcewicza), od lat dziecinnych spędzający większą część roku w Zakopanem, miał sposobność nietylko przysłuchiwać się muzyce góralskiej, lecz osobiście zżyć się z nią i z jej reprezentantami. Grywał w ich zespołach, jako uczeń Bartka Obrochty, wniknął w istotę tej muzyki doskonale i stąd nabył w stosunku do niej praw, jakiemi mało kto w tym stopniu pochwalić się może. Muzykanci podhalańscy nie mieli dla niego tajemnic. Bardzo ciekawe wydarzenie opowiedział mi p. St. Mierczyński z tego ich wspólnego wówczas pożycia; mówi ono bardzo wiele i może być wskazówką, jak się zapatrywać należy na sprawę spisywania melodyj ludowych, a następnie na traktowanie ich w muzyce artystycznej.

Otóż uczył się p. Mierczyński u Bartka Obrochty, chciał bowiem tak samo grać na skrzypcach melodje podhalańskie, jak je grał ten arcymuzykant. Stary Bartek pokazywał mu jedną melodję, w której pewien ton wyskakiwał zawsze wyżej, niżby się młodemu uczniowi wydawało potrzebne ze względu na tonację. Powiedzmy, że to było *cis*. To *cis* wadziło uchu ucznia ale oponować nie śmiał, nauczył się melodyj na pamięć i nazajutrz zagrał ją mistrzowi. Oczywiście, że razem z tem *cis*. Bartek żachnął się na to:

— A cóż wy to gracie w tem miejscu? powiada.

— Gram tak, jak wyście mi wczora pokazali— mówi młodzieniec.

— Ou-wa, to że się staremu paluch trochę w górę posunie, to wy to musicie zaraz naśladować? A grajcie-że o kawałątko niżej!...

I w ten to sposób, jedna z tajemnic oryginalności została odsłonięta. A gdyby tak przypadkiem to *cis* zasłyszał jakiś uczony badacz z miasta, lub kompozytor czyhający na oryginalne motywy, z pewnością zabrałby tę zdobycz na własny użytek i własną chwałę. Wiadomo, że przypadek nieraz staje się rodzicielem zadziwiających rzeczy, a w kompozycji częściej jeszcze, niż gdzieindziej. Zwłaszcza w nowoczesnej!...

Stanisław Mierczyński dzięki swej pięknej książce stał się naczelnym reprezentantem muzyków, zajmujących się Podhalem. Kilkakrotne pokazy radjowe tej muzyki zawdzięczamy jemu i jego niezwykle urodziwej małżonce, biorącej udział w podhalańskich produkcjach. Uroda książki zasługuje również na szczególną uwagę. Ustroiła ją prześlicznemi obrazkami Stryjeńska, Karol Szymanowski przydał wstęp, skomponowany bardzo wytwornie — mowa tu oczywiście o stylistyce literackiej, bo motywy podhalańskie zużytkował w balecie swoim „Harnasie”. Z tychże motywów i Mierczyński skomponował całość szerszego pokroju — jest to „Suita Tatrzańska“. Na podstawie tego utworu wszedł do „Stowarzyszenia Polskich Kompozytorów”.

STANISŁAW NIEWIADOMSKI

# GWIAZDA LITERACKA: NORWID

(Dokończenie)

7

WRÓĆMY jednak do konsekwencyj w sztuce. Właśnie, kiedy szkicowałem te uwagi, „Kurjer Warszawski” (z 4.IV.1931) przyniósł nieznany dotąd, a wynaleziony przez p. A. Czartkowskiego utwór Norwida „Sen”. Pochodzi on z lat późniejszych, bo z r. 1856, ale muszę go przytoczyć na dowód, jak głęboko utrwalone były w młodości dyspozycje tego poety.

Śniło się poecie pobojowisko, a na niem dwa trupy: jeden twarzą do ziemi, drugi odwrócony twarzą do nieba. Pierwszy leżał od strony wschodniej, drugi — zachodniej. I właśnie te okoliczności są dla Norwida znacząco poetyckie. Pierwszy „o d w s c h o d u (podkreślenie poety) w ziemię wpoił ciało, lecz twarz ku niebu mając zwróconą”, „plecami w ziemię się zapadł, gdy pierś i czoło w niebo promieniły”.

Człowiek od z a c h o d u w innej był postawie:
On skroń zwróconą miał ku młodej trawie.

Pierwszy z nich tęsknił do ziemi, a ten drugi, co był na zachodzie, wołał: „nieba”!

Jak widzimy, życie osobiste wypełniło ideę nieco nową treścią, ale schemat zawsze ten sam. Niebo i ziemia w ciągłem pragnieniu ku sobie, poetą zaś jest ten, kto ma dar czytania tej idei w znakach ziemskich.

Norwid, pisząc ten wiersz, był w pełni rozwoju swojej myśli filozoficznej, a jednak wiersz jest naiwny; jeżeli co zasługuje w nim na uwagę, to właśnie naiwność postaciowania idei. Do czegóż bowiem zeszła cała filozoficzna koncepcja dwu światów? Nie byłoby sposobu jej upostaciowania, gdyby nie pomoc ludu, który w swych wyobrażeniach kosmograficznych dzieli świat na dwie części: ziemia i niebo, a drugą część zaludnia według wyobraźni religijnej.

Z tego przykładu widać, że — pomimo wszystko — żelaznym kapitałem poetyckim Norwida był prymityw duszy mazurskiej. Korzystał z niego dla swych celów ideowych w drodze powinowactwa, siłą faktu psychicznego, że tak a nie inaczej narzucały mu się obrazy. I nie tylko obrazy, bo czemże jest forma artystyczna, w jakiej myśli podaje, jak nie formą zagadki, czy szarady ludowej? Norwid w filozofji znalazł tylko sankcję dla tych nastawień swojej pierwotnej wyobraźni, utrwalonych we współżyciu z ludem. Podświadomie robił z zagadki użytek taki, jaki lud robi przy wykładaniu snów. Każda rzecz, która się śniła, według sennika coś znaczy. Dla idealisty tego typu rzeczywistość jest snem, zjawiska cieniami idej, każda przeto rzecz coś znaczy i może być wyzyskana jako symbol, raczej alegorja.

Widzieliśmy już poprzednio, 15 lat temu w wierszu na temat „Pióra", jak naiwnie wiązały się wielkie idee z drobnym przedmiotem, jako tematem zagadki. Manjery artystyczne nie są nigdy wolne od wpływów środowiska bądź z folkloru, bądź z obyczajów towarzyskich. Na takiem „Piórze" np. widzieć można ślady modnego w czasach Norwida improwizowania na zadany temat. Deotyma do późnej starości w ten sposób improwizowała do każdego przedmiotu. Fredro ówczesne pojęcia potoczne o talencie i o poezji zawarł w słowach Geldhaba, zwróconych do córki: „Powiedz odę naprzykład na ten czarny stolik lub komodę".

U młodego Norwida ta skłonność do obrazowania metaforycznego daje nam sposobność poznania jego właściwego daru artystycznego. Jego obrazy z przenośni są po malarsku piękne i większe robią wrażenie, niż sama myśl twórcza. Był to przedewszystkiem plastyk i gdyby nie doktryna o odwróconym porządku świata, poezja jego byłaby wzorem postaciowego myślenia. Przy uważnem czytaniu takiego „Pióra" możemy ze szczegółów konkretnych, użytych przenośnie, odtworzyć sobie środowisko, w którem Norwid się wychowywał. Jest tam cała wiedza o piórze, wyniesiona z gospodarstwa wiejskiego. Sam opis pióra jest wskroś realistyczny, ale poza nim widzimy pisane zera, które są jak „okrągłe grosze", lub „zrachowane jaja, kiedy idą w kosze ostrożnie pomału", to znowu widzimy haczyk wędki (znak zapytania), która łowi myśl, a ta myśl przedstawiona w paru słowach jako ryba, która „skrzelą łyska". Dalej szczyt pióra przypomina mu żagiel na Wiśle, kiedy zaś mówi o „marzeń krasce", to wiemy, że młodzieniec zna tego ptaka z gajów mazowieckich; on wie, jak co płowieje od skwaru, a co ciemnieje od słoty, wie, jak wygląda pióro przesiąkłe wodą; widział, jak dzieciom ospę szczepią, krowianką zachowaną w rurce pióra; ma on w oczach czapkę z piórkiem; pamięta, jak dobrze robią strzale pióra od tyłu, gdy się strzela z łuku.

Te konkrety, pewną ręką malarza znaczone, stanowią największy walor jego młodzieńczych poezyj. Jakże cudny jest motyw pieśni ludowej, wtrącony do „Pożegnania": „Żegnam was, o lube ściany", „żegnam także i was, szyby"... Śpiewa to mleczny brat mazurki wieśniaczki, która na weselu (jak to zapisałem w Łukowskiem) zawodzi:

> Siadajże z nami, siadaj nieboże,
> Już twe płakanie nic nie pomoże:
> Stoją konie, stoją wozy pozakładane.
> Jakże ja z wami będę siadała,
> Kiej-m się z oknami nie pożegnała?
> Bywajta zdrowe moje okna,
> Jam przed wamy warkocz plotła,
> A tera nie będę.

I tak dalej: panna młoda żegna się ze wszystkiem, co w domu:

> Bywajta zdrowe moje ściany
> I ty piecu malowany —
> Przed tobą-m siadała.

A w dodatku tę rzewność bierze wraz z formą od ludu artysta, którego stać wtedy przy wezbraniu uczucia na tak śliczne widzenie:

> Żegnam was o lube ściany
> Skąd, dziecinne strzegąc łoże,
> Chrystus Pan ukrzyżowany
> Promieniami witał zorze.

A potem:

> Żegnam także i was, szyby,
> Tęczowemi lśniące blaski.
> Do rodzinnej wy siedziby
> Tak potrzebne, jak obrazki
> I tak święte, jak szkaplerze.
> Przez was pierwszy raz ujrzałem
> Wieś i niebo, przez was wierzę
> I tak wierzę, jak widziałem.

Mniej ciekawe są rozmyślania. Myśl nie zawsze wyrazista, ale gdy poeta spojrzy okiem malarskiem na podłogę, na „krzyż zardzewiały na wezgłowiu mchów zielonych", lub „szczątki, co zostały z szyb tęczowo przepalonych", to wtedy się wzruszamy, bo on to widział i to ma mowę prawdy.

## 8

Do zalet artystycznych wiersza Norwidowego należy poza malarską precyzją, jego muzyczność. I tu byłoby dane więcej Norwidowi, gdyby się nie wstydził, za przykładem Lenartowicza, owego „fletu, co w sobie liczne pieśni tłumi", owego fletu, który poprostu nazywa się fujarką, i wogóle tego wszystkiego, co później (w liście do brata Ludwika) nazwie „artyzmem ziemi". Z czytania odnosi się wrażenie, że powodowała Norwidem wygórowana ambicja artystyczna, o którą rozbiły się wpływy romantycznych tradycyj Brodzińskiego, Mickiewicza, Mochnackiego i nawet współżyjących z nim w Warszawie chłopomanów i etnografów (Wójcicki). Szukał polotu maksymalnego i znajdował go dla umysłu w idejach filozoficznych, a z tych idej znów czerpał wniosek, że trzeba i w formie i tematach szczeblować po jaknajwyższych stopniach uduchowienia. Marzyła mu się, jak się zdaje, co do muzyczności nie piosnka ludowa, ale to, co z niej zrobił Szopen. Świadczyłyby o tem tonacja niektórych utworów w duchu nokturnów, to znów mazurków, jak śpiew rusałki w „Marzeniu", znany nam jako piosnka.

Wogóle Norwidowi trzeba się przypatrywać jako temu, który usiłował w poezji znaleźć środki

instrumentowania wszystkich sztuk. Był pod tym względem prekursorem Wyspiańskiego Tak samo jak on, Wyspiański wprzęgał do dzieła malarstwo i muzyką się inspirował, tak samo potrzebna mu była i rzeźba i architektura. Na większą skalę (bo już czasy były po temu) Wyspiański użytkował dla poezji formę teatru. Wyspiański wreszcie znalazł odrazu w duchu czasu i swego środowiska kontakt z życiem duszy narodu: znalazł go mianowicie w sile marzeń historycznych.

Norwid później ten dostęp zdobył, narazie duch czasu złączył go niemal etnograficznie z życiem duszy ludu mazurskiego. Na tem polu ludoznawczem startował, podczas gdy Wyspiański na historjozoficznem. Norwidowi poderwał skrzydła Szopen, tamtemu Matejko. Niemożna się bez nagrody urodzić w środowisku, którędy przeszedł genjusz. Każdy z nich miał nad sobą widok wozu Eljaszowego i modlił się o cudowny płaszcz proroka.

W duszy artystycznej Norwida zjawisko Szopena na ziemi mazurskiej musiało wywołać takie wrażenie, jakby cud zobaczył. W tę smugę za nim w przestworza — na zachód — wpadł Norwid, który chciał i życie tworzyć trybem poetyckim.

W utworach młodzieńczych Norwida widzę wyraźnie wysiłek w kierunku stylizowania wszelkiego motywu ludowego w taki sposób, jak to robił Szopen z melodją ludową. Usiłował zawładnąć tym motywem ze stanowiska sztuki wyższej, któraby ze swoją wielogłosowością i harmonizacją tak się miała do ludowej m e l o p e i, jak organy do fujarki. Pojmował tę sprawę podobnie jak Mickiewicz, że ton wydobyty z ludu, t. zw. „motyw“ jest pierwiastkiem ruchu, a ruch nie jest rzeczą materjalną, należy więc do tamtego świata, jak każda idea.

9

Norwid przebył w młodości szkołę ludową myślenia; wychowanie, jak widać, miał typu wiejskiego. Związany był z ludem wielorako i wiedzą o rzeczach, i religją, i jako artysta. Pierwsze nastawienie wyobraźni jego było ludowe, wiejskie, antyurbanistyczne, ściślej mazurskie. I to go ciągnęło do „ziemi”. Trudno jednak nie spostrzec, że ponad to zżycie i miłość wygórowała w nim niesłychana ambicja pod hasłem wewnętrznem: *excelsior*. Była to żądza wydobycia się na szczyty artyzmu, odpowiadająca niewątpliwie utajonym w rasie dążeniom do zawładnięcia szczytami cywilizacji. Dla tego tak przypadła mu „do serca“ idea filozoficzna, emancypująca Myśl z więzów kosmosu, aby ciągnęła świat własną siłą ku Niebu.

Twórczość Norwida poszła po linji łamanej, ale wypadkowej ze zmagania się tych dwu czynników: 1) naturalistycznego popędu artystycznego w oparciu o świat dobrze sobie znany. To był czynnik — powiedzmy — empiryczny, realistyczny i swojski. To był kapitał podstawowy artyzmu Norwidowego. 2) Idea tworzenia, myśl zgóry powzięta, nieodparta, naginająca materjał, zdobyty zmysłami, do ilustrowania idei. Była to siła w przeciwieństwie do tamtej aprioryczna i dla wyobraźni dedukcyjna.

Dusza Norwida, skazana na rozdarcie, ściągała się w jedność przewagą drugiej z tych sił — ideą. To znaczy, że natura jego konstytucji dawała przewagę intelektualizmowi, mocno afektowanemu. Stwierdzenie tego stanu ma decydujące dla poznania Norwida znaczenia.

Te dwie dziedziny czynności duchowych, powiedzmy obrazowo: dolna w oparciu o zmysły i druga — intelektualna zestawione były z sobą dość luźno. Zbywało pośrodku na połączeniu, wypełniającem duszę syntetycznie, w postaci życia uczuciowego. Jest to miejsce, które w normalnych warunkach wypełnia intensywna kultura psychiki społecznej. Ten moment wymaga dokładnego zbadania historycznego okoliczności, w których wychowywał się Norwid. Wskutek jednak tego defektu twórczość poety robi wrażenie przedwczesnej dojrzałości. Istotnie, jeśli rzucimy okiem z tego młodzieńczego okresu w przyszłość poety, stwierdzimy mały postęp w zdobyczach artyzmu. Typ ustroju zostanie ten sam, przybędzie tylko wiedza i dojrzałość myśli.

Poezję jego cechować będą zawsze płynące z tego zasadniczego rozdwojenia właściwości: 1) alegoryczność, 2) właściwa racjonalizmowi niska temperatura uczuciowa, 3) retoryczność oraz imperatywność, wreszcie 4) komplikowania obrazu, które czynią rzecz niezrozumiałą dla ludzi, przyzwyczajonych do ujmowania obrazu z jednego punktu widzenia.

Obrazy Norwida, tak bardzo nieraz plastyczne w szczegółach, nie wykładają stanów jego duszy, lecz raczej, jak dawne pismo obrazowe, są wykładnią jego idej, przedstawionych w sposób alegoryczny. Każda rzecz żywa czy martwa, ma dwa oblicza: jedno, jak się je widzi, a drugie myślne, według znaczenia, jakie ma dla idei, której jest odbiciem.

Tego rodzaju obrazy, pomimo swej wartości artystycznej, nie wytwarzają ciepła koło siebie, czytelnik bowiem reagować musi na nie przedewszystkiem chłodną refleksją. Tutaj występuje różnica między wartością artystyczną symbolu i alegorji.

Symbole leżą w linji poruszenia poetyckiego uczuciowego i udzielają się odbiorcy suggestywnie, rodząc w nim wrażenia analogiczne. Symbole wywiązują się dynamicznie z toku myśli poetyckiej, jako konieczność artystyczna, stanowiąca integralną część budowy dzieła. Obrazy alegoryczne są środkiem artystycznym ze skojarzeń w wyobraźni, mającym zadanie interpretacyjne lub ornamentacyjne. Nie są motywem dynamicznym, lecz rzeczą odrębną, wstawioną.

Ten brak pierwiastku czynnego, właściwy widzeniu intelektualnemu, Norwid zastępować musi retorycznością i suggestją nakazu, dodawanego osobno, a nawołującego do walki, czy, wreszcie, do obowiązku rozumienia tego, co on głosił. Ale to nie jest środek prawowicie artystyczny i skuteczny jako suggestja.

Tutaj też spoczywa sekret małej popularności Norwida. Pokolenia mu współczesne, przyzwyczajone do wysokiej temperatury poezji romantycznej, zrażały się chłodem utworów Norwida i ich niezrozumiałością. Przypisuję w tym względzie większe znaczenie pierwszej okoliczności owego chłodu, niż drugiej. Ogół nigdy nie rozumiał narazie zjawisk literackich wyższego rzędu, w szczególności któż rozumiał „Dziady“, a jednak przywiązywał się do nich, bo przy nich płonął.

Co się zaś tyczy niezrozumiałości (tego zarzutu nie mógł nigdy zrozumieć sam Norwid i mocno cierpiał z tego powodu), wynika ona wprost z tego, co już wyjaśniłem, mianowicie z podwójnego sposobu patrzenia na świat. Norwid patrzył od strony idej, których świat ma być tylko odbiciem. Ludzie zaś, patrzący bezpośrednio na rzeczy, nie mogli współuczuwać jego doznań. Norwid za mało był bezpośredni; obrazowo mówiąc, — odgrodzony był od świata jakby szybą. Norwid pisze na tej szybie słowa dla siebie czytelne, ale z naszej strony przecież nie łatwo je dla użytku potocznego odcyfrować: trzeba je odwracać ku sobie.

I to był smutny los twórczości Norwidowej. Pisać będzie dla świata — i pisać dużo, nie zdając sobie sprawy z tego, że pisze dla siebie i że ten „hieroglif", „zrozumialszy w niebie", może być „na ziemi niepojęty".

ZYGMUNT WASILEWSKI

# NATRĘTNY GADUŁA

*HORATIUS*: (*Sermonum* I. 9.)

Szedłem raz Świętą Ulicą — zwyczaju trzymając się mego—
zamyślony głęboko o jakichś niebieskich migdałach:
nadbiegł pewien — znany mi tylko z nazwiska — patałach,
rękę mi ścisnął i krzyczy: „Jak się masz, kochany kolego!"
— „Nienajgorzej!" — odparłem — „i miejże się jak najlepiej!"
Widząc, że przypiął się do mnie i ani się nie odczepi,
pytam go: „Co chcesz?" — On na to: — „Ach znasz mnie,
[wszak jestem literat!"
— Cenię cię za to!" — bąknąłem... i pragnąc mu umknąć,
[rad nie rad
kroku przyśpieszam, to znowu przystanę i w sposób intymny
szepcę coś niby słudze do ucha... a ciało mi zimny
pot oblewa. — „O gdybym tak umiał do gniewu być prędki,
jak Bolanus!" — powtarzam w duchu. On, wziąwszy mnie
[w dozór,
sławił Rzym i przedmieścia — a wartko rozpuścił już ozór.
Ja wciąż milczę. On wtedy: „Już zdawna zgaduję twe chętki!
Zwiać chcesz ode mnie... fe, brzydko! Lecz nic nie wskórasz...
[bo pójdę
z tobą, gdziekolwiek dążysz."—Ja w nową wdałem się bujdę:
— „Po co masz drogi nakładać? Do człeka, co złożon chorobą,
idę... Nie znasz go... Mieszka daleko za Tybrem... w pobliżu
parków Cezara..." — „Mam czas, nie jestem leniwy, więc z tobą
pójdę wszędzie!"... — Stuliłem uszy, niepomny prestiżu,
jak zgłupiały osiołek, gdy wielki przytłoczy go bagaż.
On znów: „Zważywszy mój talent, już widzę, że się nie
[wzdragasz
z Wiskiem, z Variusem mnie równać w przyjaźni... Boć prze-
[cie, któż skrobnie
tyle wierszy za jednym zamachem?.. kto równie nadobnie
tańczy jak ja?... Niech się schowa Hermogen jam w śpiewie
[Syreną!"
Tu mi udało się wścibić pytanie: „Masz matkę ubogą
lub krewniaków na swojej opiece?" — „Nie! nie mam nikogo!
Wszystkich złożyłem do grobu..." — „Szczęśliwi!... Jam zo-
[stał ci jeno!..
Dobij i mnie, boć na mnie okrutny taki los czyha,
który w dzieciństwie mi z urny wytrzęsła stara wróżycha:
JEGO NIE ZGŁADZI TRUCIZNA NI WROGÓW WŁÓCZNIA
[ŻELAZNA,
GRYPA, NI STARCZA PODAGRA, NI BÓL, CO WYKRĘCI MU
[TUŁÓW;
JEGO DOBIJE GADUŁA... WIĘC NIECH SIĘ WYSTRZEGA
[GADUŁÓW
KIEDY NIECO ZMĄDRZEJE I LAT DOJRZALSZYCH JUŻ
[ZAZNA!"
Ćwierć dnia zmitrężywszy, przechodzim koło świątyni
Westy. On stawić się w sądzie miał w związku z własnym
[procesem;
wiedział, że przegra sprawę, jeżeli inaczej uczyni,
rzecze więc: „Chwilkę bądź łaskaw zaczekać!" — „Niech
[zginę z kretesem,
jeśli mam czas na czekanie!... A na cywilnym kodeksie
znam się, jak koza na pieprzu!..." — „Czy sprawę, czy ciebie
[opuścić?
Jestem w kłopocie!" — „Mnie opuść!" — „O, nigdy!" — i (wi-
[dać już wściekł się)
rusza, jak oparzony przed siebie... Ja za nim — bo juścić
jak tu się oprzeć zwycięzcy?... — „A jakże z tobą Maecenas?"—
on znów pyta; — „ten szczęściarz urządzać się umie roztropnie:
z garstką wybrańców przestaje jedynie!.. Gdybyś zapoznał
mnie z nim, o! wielkich względów z mej strony napewnobyś
[doznał:
jabym ci robił u niego protegę!... Niech kaczka mnie kopnie,
jeślibyś wszystkich nie zaćmił!" — Ja na to: „Zdaje się, że nas
mylnie sądzisz. Boć w żadnym domu nie żyje się czyściej;
niemasz tam intryg, ni gniewów, ni plotek, ni podłej zawiści,
forów nie dają bogatszym ni mędrszym, lecz każdy tam
[znajdzie
miejsce dla siebie..." — „Ech, szklisz! Uwierzyć trudno tej
[bajdzie!"
— „Ależ to prawda!" — „Tak mówisz? Tem więcej dusza
[ma pragnie
jego przyjaźni!" — „Więc staraj się o nią: mocą swych zalet
zdołasz go podbić... On do współżycia łatwo się nagnie,
tylko się droży z początku..." — „Nie zaśpię gruszek w popiele:
dziś jeszcze służbę przekupię!.. Cóż, trzeba sięgnąć co kalet!...
Jeśli mnie z kwitkiem odprawią, trudności-m się jeszcze nie
[przeląkł:
chwilę stosowną wypatrzę, na drodze zaczepię go śmiele,
odprowadzę... Bez pracy wszak niema kołaczy!" W rozterce
odsiecz ujrzałem: szedł Fuscus Aristitus! On jako zły szeląg
znał mojego kompana... Stajemy...
— „Ach, skądże to, skądże
dążysz, kochany, i dokąd?" — zapytał.
Ja w miejscu się wiercę,
szczypię go zlekka w ramię i perskie oko doń robię,
głową mu kiwam, by chciał mnie ratować.
On śmiał się niemądrze,
niby nie rozumiejąc... Mnie żółć aż wrzała w wątrobie!
„Kiedyś mówiłeś, że chciałbyś poufnie rozmówić się... a bez
świadków... ze mną..."
„Pamiętam, pamiętam! — lecz pozwól, że w kropce
dziś cię zostawię. — Do jutra!... Wszak dzisiaj trzydziesty
[jest szabes:
chciałbyś podciętym żydziaszkom w nos kopcić?"
— „Przesądy mi obce"! —
Odmę się na to, lecz on:
„A ja za wzorem pospólstwa
jestem przesądny... Wybacz!.. Pomówim później"!
Ostatnie
Zgasły nadziei promienie!.. Zbiegł huncfot, w niewolę gadulstwa
mnie nieszczęsnego oddając!..
Lecz nadszedł moment wyzwolin:
zabiegł gadule drogę przeciwnik i złowił go w matnię:
„Tużeś mi, ptaszku?!"—huknął;—„to ty się uchylasz od prawa!?"
Nuże go taszczyć przed sąd!..
Ja uszy do góry!.. Krzyk, wrzawa,
rwetes na całej ulicy!..
I tam mnie wybawił Apollin...

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER

OD TŁUMACZA: Horatius nazwał swoje satyry *Sermones*, samym tytułem już zapowiadając, że są to utwory pisane językiem codziennym, potocznym (*sermo* od *serere, serui*, plotę, bajdurzę), nie pozbawionym posmaku ulicznej soczystości. Ten ton oryginału starałem się jak najwierniej oddać w przekładzie, zrywając z błędnym zwyczajem dotychczasowych tłumaczy (Popiel, Motty), którzy te życiem tętniące utwory starali się jak najbardziej oddalić od życia przez wprowadzanie różnych archaizmów, bombastycznych zwrotów i karkołomnego szyku wyrazów. Za wzorem oryginału wprowadziłem ponadto wielką swobodę w stosowania toku wierszowego, wraz z ciągłem przerzucaniem średniówek, modulacjami stóp, ustawicznemi *enjambements* oraz umyślnem pozostawianiem wyrazów jednozgłoskowych na końcu wiersza (że nas... a bez — podobnie jak u Horatiusa *est mos... vin tu...* Etc).

J. B.

# NA WIDOWNI

Pozorna sprzeczność. — Ulubiony argument „sanacyjny". — Kwestja poczucia odpowiedzialności. — Łacina czy... esperanto?

„TYGODNIK illustrowany" (2 V. 1931) do żywego uczuł się dotknięty faktem, że „Akademik Polski", a za nim „Gazeta Warszawska" zwróciły uwagę na stronniczość zamieszczanych w nim od niejakiego czasu notatek, oświetlających „idee i zdarzenia" z tendencją wyraźnie „sanacyjną". „Trudno doprawdy dowodzić" — oświadcza z godnością redakcja „Tygodnika illustrowanego" — „jak bardzo „Gazeta Warszawska" myli się w tym wypadku. Rubryka „Idee i zdarzenia" [1]) nie jest poświęcona propagowaniu jakiejkolwiek myśli politycznej"..

Trudno przeczyć: „Tygodnik" ma słuszność najzupełniejszą. Jako żywo daremnym byłoby dzisiaj trudem doszukiwanie się na łamach tego pisma „jakiejkolwiek myśli politycznej". Czy jednakże między tą deklaracją „Tygodnika" a stanowiskiem „Gazety Warszawskiej", pomawiającej go o coraz mocniejsze zabarwienie „sanacyjne", zachodzi w rzeczywistości jakowaś niemożliwa zgoła do uzgodnienia sprzeczność logiczna? Wszakże brak „jakiejkolwiek myśli politycznej" jest obozu „sanacyjnego" cechą znamienną, wielokrotnie — przy najrozmaitszych sposobnościach — stwierdzaną i omawianą. „Sanacja" — to nie jakiś określony program polityczny, jakiś odrębny polityczny systemat, to raczej pewien specjalny poziom umysłowy, obyczajowy, kulturalny, pewna swoista zupełnie odmiana psychiki, o charakterystycznych dla niej sposobach rozumowania, upodobaniach, metodach. Jakże zaś klasycznie „sanacyjny" jest styl i smak następnych odrazu słów tejże samej, omawianej tutaj notatki „Tygodnika":

„Jeżeli według „Gazety Warszawskiej" stawanie w obronie godności rektora Uniwersytetu wobec drastycznego zachowania się pewnych odłamów młodzieży akademickiej jest czemś tak bardzo niesłychanem, to pozwolimy sobie przypomnieć „Gazecie", że tak blisko spokrewniona z nią „Myśl Narodowa" tak niedawno, z okazji 25-lecia strajku szkolnego, przez usta swego czołowego publicysty, wyrażała wątpliwość, czy jest celowe święcić rocznicę, która gloryfikuje bunt młodzieży przeciwko jej nauczycielom"...

Chwyt polemiczny z gatunku tych niezawodnych, zdawna już przez publicystów typu Wojciecha Stpiczyńskiego wypróbowanych: Wy, „endecy". umieliście być umiarkowani i praworządni wobec władzy zaborczej, ale wobec własnych, polskich władz się buntujecie — daje „subtelnie" do zrozumienia autor notatki, z miną prowincjonalnego „obrońcy sądowego", trjumfującego nad pokonanym jego obrotnością djalektyczną przeciwnikiem. Ten gust i rodzaj polemiki właśnie jest w „Tygodniku illustrowanym" zjawiskiem nowem, daleko od dotychczasowej tradycji pisma odbiegającem.

Śmieszne są próby jakiegokolwiek, pośredniego chociażby zaatakowania wojennej i przedwojennej taktyki politycznej obozu narodowego, która umożliwiła odbudowanie zjednoczonego, niepodległego Państwa Polskiego w dzisiejszych jego granicach. W tym zakresie niepotrzebne są wszelkie odpowiedzi i wyjaśnienia. Nie od rzeczy będzie może natomiast skreślenie kilku uwag, mogących przyczynić się do objaśnienia pewnych stron poruszonego zagadnienia, ujętych ze stanowiska ściśle psychologicznego.

Jest rzeczą naturalną, że naród w niewoli, im silniejsze jest w nim poczucie indywidualności własnej i odrębności od najeźdźcy, tem więcej skłonny jest określać swój stosunek do władzy zaborczej wyłącznie ze stanowiska politycznej celowości. Władzę tę, instynktownie już, traktuje on jako coś całkowicie nazewnątrz od siebie, ciosy, jakie mu ona zadaje, odczuwa jakby prześladujące jednostkę ludzką wrogie siły przyrody, wobec których musi ona wytężyć całą swoją zręczność, całą swoją inteligencję i wytrwałość, ażeby nie ulec w walce. Musi wiedzieć, kiedy rozwaga nakazuje jej „nie drażnić bestji", kiedy zaś — przy sprzyjających okolicznościach — można zadać jej znienacka cios, planowo, spokojnie wymierzony, śmiertelny.

Inny całkiem jest stosunek psychiczny do własnej władzy w narodzie niepodległym. Zwierzchność nie jest tutaj czemś moralnie zzewnątrz stojącem, postępki jej poruszają każdą świadomą narodowo jednostkę do głębi, przenikają ją — zależnie od swej szlachetności czy niskości — dumą radosną albo bolesnem upokorzeniem. Chcąc czy nie chcąc, jednostka czuje się, bo czuć się musi, za postępowanie to moralnie odpowiedzialna. Nic dziwnego, że poruszone w ten sposób sumienie zbiorowe reaguje niekiedy gwałtownie, odruchowo, nic dziwnego, że najsilniej reaguje pokolenie młode nietylko dlatego, że najwrażliwsze, ale dlatego, że z natury rzeczy najmniej w umysłowości swojej posiadać musi dawnych cech i przyzwyczajeń, wytworzonych w okresie niewoli.

W „*Quo vadis?*" sienkiewiczowskiem pisał Petroniusz do Nerona:

„Wycie Cerbera, mój miły, choćby do twego śpiewu podobne, mniej będzie dla mnie dotkliwe, bom nie był mu nigdy przyjacielem i za głos jego wstydzić się nie mam obowiązku".

Ale właśnie, aby odczuć i zrozumieć, że „wycie Cerbera", więziennego jakby strażnika Hadesu, „mniej dotkliwe" bywa moralnie od „podobnego" doń śpiewu swojskiego cezara, na to potrzeba mieć duszę dumną, niezależną swobodnego patrycjusza rzymskiego, nie zaś wyzwoleńca albo niewolnika.

*

Wogóle dla zrozumienia faktów i ich związków, cenniejszy jest zmysł człowieka historycznego, instynktownie czującego łączność z rzeczywistością dziejową, aniżeli z tego zmysłu wyzbyte, djalektyczne uzdolnienia kauzyperdy. Niedawno w Towarzystwie literatów i dziennikarzy w Warszawie, dr. Ignacy Wieniewski wygłosił odczyt, zalecający nawrót do łaciny, jako pomocniczego języka międzynarodowego w świecie kulturalnym. W dyskusji za tezą odczytu wypowiedzieli się: prof. Tadeusz Zieliński, L. H. Morstin, St. Kijeński. „Zaprotestował" natomiast w imieniu esperantystów p. Leo Belmont.

Łatwo jest wyobrazić sobie, nie słyszawszy nawet, rozliczne argumenty, jakie zgromadzić musiał zręczny adwokat na poparcie najbardziej przekonywające swojego „protestu": esperanto — to przecież łacina „udoskonalona", poprawiona, prostsza, bardziej racjonalna, praktyczniejsza... Esperanto — to jakby zapowiedź radosna nadchodzącej, promiennej epoki braterstwa ludzkości...

[1]) przeznaczona na polemikę i omawianie spraw bieżących.

Ale wystarczy wywołać na chwilę w umyśle, w sposób możliwie najbardziej wyrazisty, dwa kolejno obrazy: nasamprzód *Forum Romanum*, Kapitol, *via Appia*, a potem... widok ulicy Zamenhofa w Warszawie (dawniej: Dzikiej — tak się teraz, dzięki uchwale Rady Miejskiej, ucywilizowała!). I wystarczy zadać sobie proste pytanie: którą z owych dwóch różnych dróg przebiega główny trakt historyczny cywilizacji europejskiej? Gdzie wcieliły się cechy ducha ludzkiego bardziej dostojne, wieczyste?

I zastanowić się, że istota zagadnienia sprowadza się do sprawy wyboru pomiędzy mową dr. Zamenhofa i mową Cycerona. Czy naprawdę mogą powstać trudności przy dokonywaniu takiego wyboru?

JAN REMBIELIŃSKI

# GŁOSY

## TRAGEDJA LEGJONÓW

W Nr. 23 „Myśli Narodowej“ ukazał się artykuł „Legjonisty“, w którym autor uzasadnia tezę następującą:

„Z perspektywy kilkunastu ubiegłych lat, w świetle dokonanych faktów, widać niewątpliwie, że założenia polityczne Legjonów Piłsudskiego były mylne.

Nie może to jednak w niczem zmniejszyć kapitału żołnierskiego poświęcenia się i bohaterstwa całej licznej szarej braci legjonowej, kapitału złożonego w wielkim skarbcu różnorodnych wysiłków ku zdobyciu niepodległości i odbudowie państwa“.

„Legjonista” pragnąłby, ażeby teza ta została uznana przez Obóz Narodowy, bo to ułatwiłoby usunięcie z życia polskiego istniejących w niem głębokich rozdźwięków.

Zagadnienie nie jest oczywiście tak proste. Przeciwieństwa w naszem życiu wynikają nietylko z różnic poglądów na wysiłek zbrojny w okresie wojny. Do przeciwieństw tych dodały niejedno dzieje Polski niepodległej. Im wszakże mniej fałszów i nieporozumień, tem łatwiej osiągnąć porozumienie co do pewnych dogmatów polityki narodowej, bez których niema pełnego życia narodu. Do takich nieporozumień zaś — podtrzymywanych zresztą świadomie w imię interesów rządzącej dziś grupy — należy pomówienie Obozu Narodowego o fałszywą ocenę subjektywnej strony akcji zbrojnej legjonów.

Na dowód jak głębokie istnieje tu nieporozumienie, przytaczamy poniżej artykuł wstępny, zamieszczony pod datą 17 marca 1918 r. w piśmie „Tygodnik Polski“, wydawanem w czasie wojny w Londynie przez ludzi z obozu Komitetu Narodowego Polskiego. Autorem artykułu jest Stanisław Kozicki.

„Z Warszawy nadeszła wstrząsająca wiadomość. Major wojsk polskich Ludwik Eydziatowicz, jeden z pierwszych, którzy wstąpili do organizowanych na początku wojny przez Józefa Piłsudskiego legjonów, zastrzelił się dn. 16 lutego r. b.

Śmiercią majora Eydziatowicza zamyka się jeden z najtragiczniejszych epizodów dziejów Polski porozbiorowej — historja bohaterskiego wysiłku, ożywionego wielką miłością Ojczyzny, pełnego poświęceń, a poczętego z politycznej pomyłki.

Zdawało się tym, którzy organizowali legjony polskie w Galicji dla tego, by je pod komendą naczeln. władz wojskowych państw Centralnych poprowadzić do walki przeciw Rosji, że klęska Rosji będzie początkiem odbudowania Polski niepodległej. Tysiące młodzieży polskiej poszło do legjonów w tem przekonaniu, że spełniają święty obowiązek wobec Ojczyzny.

Poszli i dali setki dowodów odwagi, ofiarności i poświęcenia bez granic. Odświeżyli w tej wojnie najlepsze tradycje żołnierskie polskie, zyskali uznanie nietylko ze strony tych, obok których walczyli, lecz i ze strony tych, przeciw którym szli do boju. Legjony Piłsudskiego to rozdział chwały żołnierza polskiego.

Lecz u podstawy był błąd polityczny, który w miarę rozwoju wypadków wywoływał rozterkę wewnętrzną, zakończoną tragicznem rozwiązaniem.

Sądzono, że Austrja rozwiąże sprawę polską, że jej zwycięstwo zapewni Polsce niepodległość. Twarde doświadczenie wykazało, że Austrja nie może odegrać w tej wojnie samodzielnej roli, że jest li tylko narzędziem w ręku Niemiec. Niemcy wzięły w rękę naszą sprawę. Ogłoszono akt 5 listopada 1916 roku, obiecujący Polsce niepodległość. Twórcy legjonów sądzili, że danem im będzie zrobić z nich zaczątek armji polskiej. Spotkali się z oporem Niemców. Zażądano od legjonów złożenia przysięgi na „braterstwo broni“ z armjami państw Centralnych. Piłsudski oświadczył się przeciw przysiędze, znaczna część legjonistów odmówiła. Nastąpił konflikt otwarty z władzami niemieckiemi — Piłsudskiego internowano, legjonistów opornych aresztowano, rozbrojono i osadzono w obozach. Jakże ciężkie przejścia musiały się odbyć w duszach tej młodzieży.

Część jednak postanowiła wytrwać na obranej drodze. Zacisnęli zapewne zęby, pomyśleli, że ofiara na coś się pewnie przyda Ojczyźnie, złożyli przysięgę i zostali na stanowisku. Do tych należeli pułkownik Berbecki i major Eydziatowicz. Ten ostatni stanął na czele głównego zaciągu do legjonów w Warszawie. Jak ciężko musiało być temu żołnierzowi polskiemu pracować dla wcielenia w życie umiłowanej idei wśród obojętnego lub wrogiego nastroju społeczeństwa, w czasie gdy towarzysze broni przebywali w więzieniu niemieckiem. Wyobrażamy sobie, że trwał w imię wypełnienia obowiązku Polaka i żołnierza tak, jak go pojmował.

Aż oto nadeszła chwila tragiczna — traktat z Ukrainą i oderwanie szmatu ziemi polskiej; nowy podział Polski. Trudno bez najgłębszego wzruszenia pomyśleć, co się dziać musiało w duszy żołnierskiej Eydziatowicza. Słabe tylko pojęcie dać może o tem następujący ustęp z „Nowej Reformy“:

„Nie opuszczała go dotąd wiara, mimo wszelkie zawody, choć goryczą było przepojone serce jego wobec rozbieżnych prądów politycznych, nurtujących w społeczeństwie polskiem. Nie zdołało nic pokonać w ś. p. Eydziatowiczu tej wiary, że przecież Polska powstanie, jak feniks z popiołów, że żyć będzie życiem niepodległem. Ale fakty, których nikt nie przewidział, fakty, które żałobą okryły całą polską ziemię, a serca wszystkich bólem krwawym cisnęły — te fakty dni ostatnich zmogły siły ś. p. majora Eydziatowicza, włożyły mu w rękę broń samobójczą, przecięły nić jego żywota“.

Dotychczasowy przebieg wojny wykazał z pełną oczywistością, że u podstawy organizacji legjonów galicyjskich była błędna myśl polityczna; historja osądzi surowo błąd popełniany. Lecz mimo to dzieje walk legjonowych przejdą jako całość do epopei wojennej narodu, a dziś już nawet uczucie powszechne objęło tę garść młodzieży ciepłem swej miłości.

Główny twórca legjonów, Józef Piłsudski, i ci, którzy z nim współdziałali, stali się wyrazicielami prawdy, która się ostała w wirze wydarzeń i którą potwierdziło doświadczenie wojenne: narody zdobywają niepodległość li tylko krwią i żelazem.

Piłsudski jest w tej wojnie symbolem przeświadczenia, że w okresie wielkiego dziejowego przewrotu Polska nie może stać na uboczu, że naród nie może i nie ma prawa być bezczynnym wtedy, kiedy decydują się jego losy na całe stulecia; że naród musi działać, musi własnemi rękami przyszłość swoją budować.

Piłsudski zrozumiał, że jedynym czynem narodu w czasie wojny, w czasie gdy zmagają się ludy między sobą, jest czyn wojenny, że przez krew jedynie kupuje się prawo do życia.

Za odczucie tej wielkiej prawdy, za wiarę w nią bezwzględną, za przypieczętowanie tej wiary krwią własną przejdą legjoniści polscy do historji narodu.

Tragiczna śmierć majora Eydziatowicza jest symbolem tragedji legjonowej.

Z szacunkiem pochylają się przed nią głowy polskie, lecz myśl wyciągnąć musi z tego wstrząsającego faktu wnioski polityczne. Naród niema takiej drogi wyjścia z tragicznego konfliktu, jak jednostka. Naród musi żyć, naród w doświadczeniu dnia dzisiejszego musi szukać wskazań na przyszłość, z błędów i ofiar jednostek wyciągać pożytek dla całości.

Wydarzenia ostatnich tygodni wskazują coraz jaśniej jedyną drogę, jaką iść w tej wojnie musimy, jedyny wspólny front, jaki wszyscy bez wyjątku powinniśmy utworzyć — przeciw Niemcom".

Artykuł noszący tytuł „Tragedja legjonów" podaliśmy w całości, bez żadnych zmian jako dokument historyczny. By go właściwie ocenić, należy pamiętać, że był pisany w czasie, gdy rola wojskowa legjonów była już skończona, gdy ich twórca był internowany w Magdeburgu. Upłynęło od chwili napisania tego artykułu lat trzynaście, wypełnionych doniosłemi wydarzeniami i doświadczeniami. Stanowisko polityczne Obozu Narodowego i jego sąd o młodzieży, która poszła do legjonów, pozostało niezmienione. Jeśli chodzi o osobę Piłsudskiego, to historja będzie ferowała swój wyrok nietylko na podstawie jego zachowania się w latach 1914—1917, lecz także—a może przedewszystkiem — na podstawie jego działalności politycznej w Polsce niepodległej. A wówczas sąd jej będzie musiał — z konieczności — być inny, niż sąd publicysty, piszącego w r. 1917.

# NAUKA I LITERATURA

## PAMIĘTNIKI FOCHA

PRAWIE równocześnie ukazały się pamiętniki Focha w kilku językach.[1]) Politykom przyniosły one zawód, bo ograniczył się w nich zwycięzca z r. 1918 do przedstawienia swego udziału li tylko w akcji wojskowej. Ktoby szukał w „Pamiętnikach" Focha danych, dotyczących jego akcji politycznej w czasie konferencji pokojowej, ktoby miał nadzieję znalezienia odpowiedzi na wywody Clemenceau, zawarte w jego „Blaskach i nędzach zwycięstwa", słowem oświetlenia całego zagadnienia Renu (jako koniecznej granicy wojskowej Francji), ten zamknie książkę z uczuciem zawodu. Foch był przedewszystkiem żołnierzem i takim pozostał w swej ostatniej książce. Pisał ją dla wszystkich, lecz przedewszystkiem dla żołnierzy i nie wątpię też, że znajdą oni w niej obfity materjał, którego pisarz niefachowy należycie ocenić nie jest zdolny. A to tembardziej, iż pamiętniki dotyczą tych okresów wojny, w których czasie Foch odegrał rolę decydującą. Bo nie zdążył napisać całości. W tomie pierwszym dał zaledwie dzieje pierwszego półrocza wojny. Zastała go ona na stanowisku dowódcy 20 korpusu, stojącego w Lotaryngji. Później został dowódcą 9-ej armji i w tym charakterze brał udział w bitwie nad Marną. W początku października otrzymał kierownictwo działań wojennych na północnym, przylegającym do morza odcinku frontu sprzymierzonych i dowodził operacjami, noszącemi nazwę bitwy we Flandrji (nad rzekami Yser i Ypres), która miała znaczenie decydujące dla utrzymania się sprzymierzonych na pozycjach broniących Paryża.

Na tem kończy się tom I „Pamiętników". Pominął Foch dalsze dzieje swej służby wojskowej — udział w ofensywie nad Sommą, czasy niełaski, gdy zajmował stanowisko drugorzędne (27 XII 1916 do 17 V 1917), udział w działaniach wojennych we Włoszech, działalność w charakterze przedstawiciela Francji w najwyższej Radzie wojennej. Za rzecz najpilniejszą uznał widać spisanie tego, co dotyczyło jego działania w okresie, w którym oddał największe usługi Francji, a więc wówczas, gdy był wodzem naczelnym armij sprzymierzonych i na ich czele odniósł wiekopomne zwycięstwo.

Ten okres, ciągnący się od marca do listopada 1918 roku jest przedmiotem tomu drugiego „Pamiętników". Nie będzie się zapewne mógł obyć bez tej książki nikt, kto będzie chciał poznać dzieje jednej z decydujących bitew historji.

Brak mi kompetencji do oceny tej części tomu drugiego, w ktorej mowa o działaniach wojennych. Opis rokowań w sprawie zawieszenia broni nie przynosi nic nowego Czytelnika polskiego zainteresuje, co mówi Foch o decyzji, powziętej przez sprzymierzonych w czasie narad nad warunkami zawieszenia broni w zakresie sprawy polskiej:

„Propozycje, dotyczące frontu rosyjsko-rumuńskiego, przyjęto bez dyskusji. Przy tej okazji minister spraw zagranicznych p. Pichon podniósł sprawę odbudowania Polski, co było dla sprzymierzonych jednym z celów wojny; lecz wyrażono zgodnie pogląd, że wysuwanie tej sprawy wykraczałoby poza ramy zawieszenia broni i że należy ograniczyć się do spowodowania, by Niemcy cofnęli się na swoje granice wschodnie z r. 1914".

Pióra fachowe ocenią z pewnością pamiętniki Focha z punktu widzenia wojskowego. Nie wątpimy, że znajdą one licznych czytelników wśród wojskowych. Polityk ma z ich powodu niewiele po powiedzenia. Na każdym wszakże zrobią one napewno silne wrażenie, albowiem z poza martwych kart papieru wyłania się przed wyobraźnią jasna postać wielkiego wodza.

Widziałem Focha kilkakrotnie. Po raz pierwszy na plenarnem posiedzeniu konferencji pokojowej, gdy ku zgorszeniu delegacji francuskiej i wobec zagniewanego Clemenceau wystąpił z krytyką postanowień traktatu, który miał być przedłużony Niemcom (chodziło mu o granicę na Renie), po raz ostatni w Poznaniu. Cechowała go wielka prostota w stosunkach z ludźmi; biła od niego siła charakteru, każde odezwanie świadczyło o sile i jasności myśli. Te same cechy odnajdujemy w „Pamiętnikach". Są to zresztą właściwości rasy francuskiej. Nigdzie bodaj nie zachowały się one z taką wyrazistością, jak wśród wojskowych francuskich. Niewiele wiemy o nich, bo ściśle się stosują do tradycji, która nakłada na żołnierzy obowiązek trzymania się zdala od życia politycznego, od mównicy publicznej i od prasy... Miarę swej wiedzy, swej odwagi i swego poświęcenia daje żołnierz w chwili krytycznej, na polu bitwy. Żołnierzem francuskim w każdym calu i w każdym momencie swego życia był Foch, przyszłość postawi go obok tych wszystkich wielkich wodzów którymi chlubi się Francja w ciągu tysiąca lat swej historji Pamiętniki Focha zaś są na wysokości jego czynów.

S. K.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Prof. uniw. poznańskiego J. Sajdak, zasłużony wydawca „Pism Ojców Kościoła", zainicjował obecnie nowe wydawnictwo p. t. *„Analecta Byzantina"* (nakł. Tow. Nauk. Pozn.). Znajdą się tu opracowane krytycznie pod względem filologicznym prace i utwory literatów bizantyńskich z V — XIV wieku, ważne dla historyków i badaczy literatury, jako dokumenty umysłowości średniowiecznej, stanowiące pomost między starożytnością i dobą odrodzenia; lwią część wydawnictwa stanowić będą dzieła treści religijnej, będące kontynuacją działalności pisarskiej Ojców Kościoła, zwłaszcza Grzegorza nazjańskiego. W prospekcie „Analektów" widzimy nazwiska: Eljasza z Krety, Nicetasa z Heraklei, Konstantyna i Michała Pseliosa i in. Narazie ukazał się tom, obejmujący „Hymny ku czci Bogarodzicy" napisane przez scholjastę i poetę X wieku, Jana Kiriotesa Geometrę. Tekst opracował prof. Sajdak na podstawie sumiennego porównania wszystkich istniejących rękopisów watykańskich, z których jeden został zabrany przez Napoleona do Paryża, 3 moskiewskich oraz pierwodruku paryskiego z 1591 roku; z tego też pierwodruku przejęty jest przekład łaciński, dokonany naówczas przez Fryderyka Morellusa. Obok opracowania i ustalenia tekstu ważną zasługą prof. Sajdaka jest określenie stanowiska „Hymnów" w literaturze; o ile one same dużo zawdzięczają czy to psalmom, czy Nowemu Testamentowi, czy św. Grzegorzowi, o tyle ich ton i frazeologja wywarły znaczny wpływ na utwory później powstałe. Uderzające jest zestawienie ich z litanją loretańską, z pieśnią *„Salve Regina"*; dodajmy, że i nasze Godzinki też z bliskiego im źródła wypłynęły. Przeto „Hymny" Jana Geometry były jednemi

---

[1]) Wydanie polskie u Mortkowicza w Warszawie. Wydanie niemieckie u K. F. Koehlera w Lipsku. Wydanie francuskie u Plona w Paryżu.

z pierwszych ogniw tego łańcucha, u którego końca stanęły bliskie im nawet tytułem — „Hymny“ Kasprowicza. (J. B.)

*

„Literatura Rzymska“ w opracowaniu Mieczysława St. Popławskiego, w wydaniu Księgarni Trzaski, Ewerta i Michalskiego, w związku z wydawnictwem „Wielkiej literatury powszechnej“ jest popularnym, z talentem i erudycją ułożonym skrótem. Literatura rzymska, jak wiadomo, wyrosła na gruncie literatury greckiej i miała w rozwoju cywilizacji zasadniczy wpływ na kształtowanie się form poezji, historji, mownictwa, prawa i teologji. Jednak mimo znaczenia tych wzorów dla życia narodowego i społecznego, dzieła twórców tej literatury nie są dostatecznie przez ogół poznawane i nowa w tym przedmiocie praca interesująco ku niemu zbliża, gdyż chcć dokonana została z całym aparatem naukowości, nie jest oschłą akademicko i nie rozpływa się w historjozoficznych mgławicach. Jest żywotna. Ukazuje świat antyczny ciekawie, styl jej posiada ciepło wewnętrzne, z wibrującym rezonansem współczesności. Autor, omawiając działalność znakomitych mężów starożytności rzymskiej, przedstawia ich portrety psychologiczne na ile ich epok, przyrodnika Lukrecjusza, historyków: Salustjusza, Liwiusza i Tacyta, poetów Wirgiljusza, Owidjusza, Horacego i Katulla. Znaczenie ich dzieł stało już za ich życia w prostym stosunku do blasków rzymskiej kultury, a wpływ ten wzmagał się w pochodzie następnych wieków. Wydanie „Literatury Rzymskiej“ M. St. Popławskiego, przez wyżej wymienioną księgarnię, śladem wydanej tam niedawno „Historji filozofji“ prof. Tatarkiewicza, zwraca wzrok ku najwyższym pomnikom myśli, zasługuje na rzetelne uznanie i rozpowszechnienie. (A. W.)

*

Zbiór studjów o teatrze śp. Adama Zagórskiego wydała księgarnia F. Hoesicka pod wspólnym tytułem „Walka o teatr“. Autor, świetny krytyk i miłośnik teatru walczył piórem o wysoki poziom repertuaru, gry, wystawy. Wrażliwy, pełen gorącego temperamentu pisarskiego, traktował przedmiot ze znajomością rzeczy, począwszy od językowej genezy terminologji teatru, po przez historję rozwoju sceny w wiekach średnich, a skończywszy na warunkach bieżącego czasu. Rzecz wiadoma, ile przed i po wojnie zaszło w charakterze inscenizacji zmian, wedle modły klasycznej, romantycznej, naturalistycznej, nastrojowej, wreszcie formistycznej, a to w zależności od coraz nowych teoryj i technicznych środków sceny. Zagórski był wrogiem tandety literackiej i wogóle szablonu. Chodziło mu o wydobycie na jaw narodowych pierwiastków, tak w twórczości literackiej, jak i o „polski styl gry“. Interesował się w tem rolą Wyspiańskiego, podkreślił szereg wartości, dotychczas nieużytkowanych, wydobył piękno w nich zaklęte i trafnie charakteryzował ich ideowość. „Wyspiański“, — pisze — „..pierwszy dostrzegł, że mistycyzm romantyczny niezdolny utorować dróg do przyszłości, a potrzebujący oparcia dla swej ewangielji — sięgnął po nie do przeszłości i trawestując ją po swojemu uczynił z niej pewnego rodzaju pismo święte, zaś z wielkich ludzi dawnej Polski proroków romantycznej wiary i patronów, do których naród winien zasyłać modły o wstawiennictwo przed Bogiem“. Inne rozważania Zagórskiego: „Rola malarstwa scenicznego“, „Teatr przyszłości“ wnoszą w książce „Walka o teatr“ myśli świeże i cenne. Dobrze też, że wydawnictwo zamieściło kilka sprawozdań Zagórskiego: z najwybitniejszych utworów dramatycznych wystawionych w teatrach warszawskich, utworów Szekspira, Calderona, Fredry, Nowaczyńskiego, Rostworowskiego i Żeromskiego. Służą te recenzje za dowód talentu ich autora, wszechstronnej wiedzy i kultury. A. W.

*

*On revient toujour à ses premiers amours.* To też Stefan Grabiński, po napisaniu kolejno trzech powieści („Salamandra“, „Cień Bafometa“, „Klasztor i morze“) wrócił do tego, od czego zaczął i co stanowiło główną podstawę jego talentu i rozgłosu: — do noweli. Wydał ich obecnie cały zbiorek pod ogólnym tytułem „Namiętność“ („Universum, Bibljoteka dla wszystkich“). Jakby przez świadomość czy wspomnienie, że punktem węzłowym jego twórczości był cykl nowel na tle życia kolejowego p. t. „Demon ruchu“ — zamieścił w nowym zbiorku dwie nowele „kolejowe“ („Przypadek“ i „Pojednanie“) stanowiące jedną całość. Epizod „tajemniczego pociągu“ występuje też w noweli p. t. „Zmora“, gdzie jednak na pierwszy plan wysuwają się inne motywy, głównie zaś motyw kolorystyczny. Motywy kolorystyczne przesycają też całą nowelę początkową, p. t. *„L'appassionata“* — osnuty na tle weneckiem; nic dziwnego, boć jesteśmy w ojczyźnie Tycjana. Nowela ta (drukowana poprzednio w „Kurjerze Poznańskim“) najwięcej wnosi nowych pierwiastków w twórczość Grabińskiego i oparta jest na najgłębszem założeniu: jest niem wtórne przeżywanie dawno minionych uczuć... Na tem przedziwnem tle, jakiem jest Wenecja, skojarzył autor tchnienie przeszłych wieków z dobą dzisiejszą, pulsujące życie — z cmentarzem. Podobny splot wspominków historycznych i teraźniejszości — i podobny ton makabryczny — jest podłożem noweli: „Projekcje“, gdzie spotyka się i pewne oddźwięki motywów „Klasztoru i morza“. W przeważnej części nowel dominuje silny, czasami chorobliwy — erotyzm — od którego też wzięła tytuł cała książka. (J. B.)

## Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Książki dr. Gustawa Le Bon'a z dziedziny społeczno-politycznej czyta się zawsze z zaciekawieniem i pożytkiem. Posiada on bardzo rozległą wiedzę i zwraca uwagę na rzeczy istotne. Nie jest też pozbawiona zwykłych zalet książka ostatnia francuskiego uczonego, *„Bases scientifiques d'une philosophie de l'Histoire“*. Możnaby jednak powiedzieć w niej, że to co w niej jest dobre, nie jest nowe (było przez autora powiedziane w pracach dawniejszych), to zaś, co jest nowe, nie jest dobre (dr. Le Bon nie jest już dokładnie poinformowany o rozwoju stosunków w Europie). Ot naprzykład to, co mówi o Polsce powojennej na jednej stronie swej książki, jest błędne od początku do końca. Skoro zaś autor myli się, mówiąc o tem, co dobrze znamy, że trudno mieć zaufanie do innych jego uogólnień. (K.)

*

Georges Bernanos, autor powieści *„Sous le Soleil de Satan“*, której zawdzięcza zasłużony rozgłos, napisał świeżo niezwykłą książkę p. t. *„La Grande Peur des Biens — Pensants“* („Wielki strach dobrze — myślących“. B. Grasset, str. 458). Książka ta jest pierwszą z zamierzonej serji pod ogólnym tytułem *„Démission de la France“*.

Rzecz ta poświęcona została rozpamiętywaniu i rozważaniu żywota oraz prac głośnego przed laty, jednego z największych publicystów Francji z drugiej połowy XIX w., Edwarda Drumont'a, autora *„La France Juive“*, *„La Fin d'un monde“* i t. d. Poglądy Drumont'a na przyczyny rozkładu społeczeństwa nowożytnego dają autorowi sposobność do wypowiedzenia własnych przewidywań co do jego przyszłych losów, zwłaszcza we Francji. Dzieło to, pisane z nieposplitą mocą słowa, gwałtowne i namiętne, dające wyraz niepokojom i udręczeniom duszy pokolenia z okresu wielkiej wojny, świadczy między innemi o ogromnym talencie polemicznym znakomitego pisarza. Książki tego rodzaju, jak powyższa Bernanos'a, jak — przed paru laty przez nas tu omawiana — Gaxotte'a o Wielkiej rewolucji, jak ostatnio wydana Daniela Halévy'ego p. t. *„La fin des Notables“*, powinny zwrócić na siebie uwagę naszych publicystów obozu narodowego—i znaleźć wydawców. (W. J.)

*

André Maurois, pisarz niewątpliwie utalentowany, ale także zręczny, „umiejący robić książki“ (*„faire les livres“*), jak powiadają Francuzi, uporawszy się z Anglikami (Shelley, Disraëli, Byron), przeszedł teraz do Rosjan, o czem świadczy jego świeża książka o Turgenjewie (*„Tourguéniev“. Editions B. Grasset.* Str. 248); wkrótce, być może, zacznie pisać o powieściopisarzach amerykańskich, miał bowiem ostatnio wykłady o literaturze francuskiej w Uniwersytecie w Princeton, skąd powróciwszy, zaczyna tu i ówdzie przebąkiwać o rozmoitych Sinclair'ach Lewis'ach, Dreiser'ach, Anderson'ach i innych znakomitościach literackich Nowego Świata.

We Francji powojennej zaroiło się od lepszych i gorszych znawców obcych literatur. Są tu specjaliści od Skandynawów, Anglo-Sasów, Niemców, Rumunów, Rosjan (wkrótce możemy oczekiwać „gruntownych“ prac o Majakowskim, Pilniaku i t. p. z zakresu bolszewickiego literatury rosyjskiej), brak tylko dotkliwy specjalistów od Polaków (może jeden Paul Cazin)..

Piszą we Francji i rozprawiają bez przerwy o życiu i twórczości Gogola, Tołstoja, Dostojewskiego, nawet Gorkija i t. p., tłumaczą wciąż ich dzieła — niema tylko komu pisać o Mickiewiczu, nie mówiąc już o autorach polskich współczesnych. Taki np. prof. Mazon, który jest następcą Mickiewicza na katedrze literatur słowiańskich w *„Collége de France“* nie wiem, czy swemu poprzednikowi poświęcił bodaj dziesiątą część tego czasu, jaki zużył na wydanie mniej znanej spuścizny literackiej po Turgenjewie... Wspominamy o tem, bo właśnie Maurois, w swojej pracy o autorze „Ojców i Dzieci“, korzystał także z tego wydawnictwa, zresztą oparł ją na dość znanych opracowaniach rosyjskich i studjach francuskich.

Na pracę Maurois o Turgenjewie złożyły się cztery wykłady, miane o nim w *„Société des Conférences“*, gdzie niegdzie tylko uzupełnione. Jest to właściwie zarys żywota i twórczości znakomitego pisarza rosyjskiego, nakreślony ręką wprawną w tego rodzaju pracach, obejmujący rzeczy

główne i ważne, z pominięciem drugorzędnych. Pierwiastek sensacji wprowadził i tu Maurois, jak to zresztą robił w swoich książkach o Anglikach, kładzie bowiem nacisk na erotyzm Turgenjewa i jego kult kobiety.

Parę ostatnich rozdziałów poświęca autor sztuce, artyzmowi Turgenjewa i jego filozofji. Nazywa Turgenjewa „realistą poetyckim“, t. j. takim realistą, który wie, że życie ludzkie nie składa się tylko ze szczegółów powszednich, lecz jest zmieszane z wielkiemi uczuciami, niepokojami, tajemnicami oraz złudzeniami szlachetnemi. Turgenjew-realista uznawał, iż marzenie jest częścią rzeczywistości. Rzecz cała przedstawia się zajmująco i ponętnie, zwłaszcza dla czytelnika mało obeznanego z przedmiotem, a, jak na autora Francuza, to nawet bardzo jest udaną, ujawnia bowiem znajomość i wyczucie stosunków obcych Zachodowi i nie powtarza ustalonych komunałów o *„l'âme slave“* i t. p. (W. J.)

# TEATR

## K. H. ROSTWOROWSKI: „PRZEPROWADZKA“

NIE umiałbym wskazać w literaturze polskiej pisarza, któryby tak całkowicie oddawał się zagadnieniu człowieka. Zdawaćby się mogło, że socjalizm XIX wieku już się z tem zagadnieniem załatwił, wyczerpując cały zasób uczuć humanitarnych dla człowieka społecznie upośledzonego. Tymczasem w takich twórcach, jak Rostworowski, trudno nie dostrzec reakcji na socjalistyczne traktowanie człowieka.

Wystawiony obecnie w teatrze Narodowym w Warszawie dramat Rostworowskiego „Przeprowadzka“ jest z fabuły swojej dalszym ciągiem „Niespodzianki“, którą poprzednio tutaj wystawiono. Sam fakt, że autor parę lat poświęcił drobnej komórce życia, wzruszony tak głęboko tego życia dramatycznością, jest znaczący; ale myśmy te dramaty przeżyli jako widzowie i wiemy, że jest w nich coś więcej niż literatura, niż ciekawość artystyczna. Rostworowski komponuje jak poeta, który się spala, jak reformator religijny.

Właściwością jego artyzmu jest dreszcz, który się widzom udziela i który nas zniewala do liczenia się z czemś, co jest nadwyżką ponad artyzm. Obraz realistyczny Rostworowskiego ma moc suggestywną, daną mu od twórcy, który się ogranicza, żeby z siebie zrobić artystę, bo jest czemś więcej. Nazwaćby można tę moc radjoaktywnością na podobieństwo owej cudownej wody z gorących źródeł górskich. Chemiczna analiza prostych zdarzeń, które pokazuje, nie wykazuje składników takich, jak moralizatorstwo, mistycyzm religijny, reformatorstwo społeczne, a jednak słuchacz czuje się powołany do współrzędnego wysiłku duchowego z autorem, bo fakty dramatu w nim promieniują, a każdy promień, w poddanym kierunku przedłużony, sięga sfer metafizycznych. Tego rodzaju oddziaływanie artystyczne tłumaczy się bogactwem promieni, które dramaturg w sobie skupił, aby fakty naświetlić.

Rostworowski jest czemś więcej, niż realistą w traktowaniu człowieka; patrzy na niego nowemi, specjalnie skonstruowanemi przez siebie oczyma. Jakby je przetarł z konwenansu, którego mgłą zaszły w życiu społecznem, zasnutem nałogami i doktrynami socjalnemi, widzi człowieka bezpośrednio jako fakt sam w sobie indywidualny, jako przedstawiciela danego rodzaju pracy, jako twór kultury, a zawsze jako stworzenie boskie; widzi koło niego, jak wieloraki nimb, koliska koncentryczne, których centrem jest jego serce. Rostworowski cierpi z człowiekiem, ale w niego wierzy. Takie spojrzenie ufne ma tylko człowiek głęboko religijny.

I to jest owa reakcja na pesymizm widzenia socjalistycznego, który jest nieodwołalnym losem kierunków materjalistycznych.

Dlatego to, słuchając Rostworowskiego, doznajemy wrażenia, że idzie do nas reformator z dobrą nowiną. Bo on nas wyzwala z mroków, któremi zasłonił człowieka obyczaj myślenia o nim kategorjami wyłącznie socjalnemi. Człowiek pracy przez co jest bardziej upośledzony: czy przez to że pracuje fizycznie i że jest niezamożny, czy przez to, że odbieramy mu przywilej boski człowieka, traktując go jako numer indywidualnie, a jako liczbę masowo i wskazując mu tylko drogę żądz materjalistycznych i zawiści?

Rostworowski stawia człowieka prostego na gruncie prawdy psychologicznej. Czyni to jako rzetelny artysta. Sztuka potrafiła wyrwać przyrodę z niewoli konwencjonalnego traktowania, wyrwie i człowieka. Widzieliśmy, do czego doprowadziły sztukę schematyczne tendencje pisarzy socjalistycznych na przykładzie Kadena-Bandrowskiego „Czarnych skrzydeł“. Doszła tutaj do absurdu manjera traktowania ludzi na podobieństwo zwierząt. Pod kirem czarnych skrzydeł i szablonem pojęć ginął nam z oczu cały obszar życia. Najbardziej ponury obraz Rostworowskiego jest radośniejszy od grobu „nieznanego człowieka“, bo u niego jest wylot jakiś do słońca. „Przeprowadzka“ pokazuje ten wylot. Jest miejsce na pełnego człowieka nawet tam, gdzie szablonowemu umysłowi widział się tylko koszmar.

Dzieło Rostworowskiego jest owocem wielkiego talentu dramatopisarskiego. Zadaje kłam krakaniom o upadku sztuki polskiej. Polska sztuka narodowa idzie z ofensywą.

Sztukę reżyserował Ludwik Solski. Jego zasługą jest doskonały zestrój aktorów i szlachetne ich utrafienie w ideę artystyczną autora. Urok prawdy porwał artystów i niektórym z nich, dotąd mniej znanym, pozwolił ujawnić znaczne zasoby talentu. Mam na myśli pp. Hnydzińskiego, Solarskiego, Ankwiczównę, Jarszewską. Autora przyjmowano owacyjnie

Z. W.

# ZE ŚWIATA SZTUKI

W POLSKIM Klubie Artystycznym wystawili jednocześnie swe prace: Tytus Czyżewski, Maksymiljan Feuering, Zbigniew Pronaszko i Zygmunt Waliszewski. Wszyscy czterej, choć nie w jednakowym stopniu, reprezentują sztukę nawskroś współczesną. T. Czyżewski, o ile wiem, jest u nas oficjalnie pasowany na futurystę. Futurysta! Oto słowo, używane jako straszak przez wielu poczciwców z naszej inteligencji mieszczańskiej. „To, panie, futurysta“, powiada o artyście, jeżeli nie maluje jak Słupski, lub Badowski i nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Wobec tego, nie wdając się w kreślenie historji futuryzmu, nie od rzeczy będzie jednak powiedzieć parę słów o tem, co zacz są futuryści. Futuryzm, najstarszy z rewolucjonizujących kierunków modernistycznych, powstał we Włoszech. Jako kierunek literacko-artystyczny, zapoczątkowany raczej przez literatów, a nie plastyków, większą rolę odegrał w poezji, niż malarstwie. Najistotniejszem dla niego było zagadnienie ruchu. Dynamikę przeciwstawił statyce. Dlaczego Włochy, kraj łaciński, ziemia klasyków, były jego kolebką? Urodził się tam, właśnie może jako protest przeciw wiecznemu pasożytnictwu na kulturze przeszłości i wprost mimowolnemu oddychaniu atmosferą historji. Tak tedy futuryści „chcieli wyrazić nowoczesne życie i cywilizację“ („Sztuka współczesna“ Nr. 3 str. 92) i byli swego rodzaju rewolucjonistami. Byli — bo kierunek ten należy już prawie do historji. Wiadomo jednak, iż rewolucjoniści są specjalistami wyłącznie w swoim fachu. Czyż niema w tem tragedji, że istnienie ich uwarunkowane jest jedynie możnością przeciwstawiania się? „Wszczepił on (futuryzm) ducha i zamiłowanie do działania i odwagi, ale nie mógł przetrwać, jako jasno określona estetyka. Jeszcze dzisiaj — być futurystą — znaczy mieć wiele aspiracyj, a często nic nie realizować“. (*„Praesens“* Nr. 2, str. 129).

Wróćmy do Czyżewskiego. Jak się rzekło, jest on najstarszym futurystą rodzimego chowu, założycielem tego kierunku u nas i jedynym jego przedstawicielem. Ponieważ futurystów nie obowiązuje dobry rysunek, w utartem tego słowa znaczeniu, dziwne mi się wydaje, dlaczego tak mało ich mamy. Na podstawie obrazów Cz. wybór przezeń zawodu malarza można uważać za całkiem usprawiedliwiony. Cz. orjentuje się w kolorze i umie nim operować. Natomiast jakie są założenia jego płócien, trudno się zorjentować. O co mu chodzi — nie wiem. Przyznaję się do tego otwarcie, i tak dosyć jest snobów, którzy wszystko rozumieją. Kiedyś p. Chojecki, z *„Messager Polonais“*, z godną pochwały szczerością napisał, że obrazy Czyżewskiego przypominają mu rysunki warjatów. Czy Cz. obraził się, niewiadomo (szczery futurysta, mojem zdaniem, powinien uważać to za komplement), obraziły się natomiast za niego... „Sztuki Piękne“. Organ starszych panów z Krakowa dziwnie skwapliwe oka-

zuje zrozumienie dla niektórych przejawów współczesnej sztuki. Może wyznaje zasadę: *tout comprendre-tout pardonner*.

M. Feuering zrobił na mnie wrażenie zręcznego blagiera. Tu coś uchwyci, tam coś uskubnie, zamiesza, posoli, popieprzy i obrazek gotów. Prace jego, rezultat wybitnie mózgowych koncepcyj, mają w sobie sporo graficzności. Kolor — dosyć zlokalizowany. Deformacja kształtu, z zamiłowaniem uprawiana, niema głębszego uzasadnienia.

Zbigniew Pronaszko wystąpił z szeregiem poważnych prac. Zagadnienia kompozycyjne najbardziej zdają się interesować malarza. Komponowanie form i więcej jeszcze: zespołów barwnych. Obrazy malowane szeroko, niemal tak jak dekoracje teatralne. Niema tu „wykończenia", które tak lubi publiczność. Ale niema i deformacji kształtu, traktowanego dość realistycznie. Sztuka Pronaszki o przewadze intelektu, obraca się w obrębie zdobyczy Cézanne'a, jak całe prawie, zresztą, współczesne malarstwo.

Niewiele wystawił Z. Waliszewski. Ale i z tego wyziera wielki talent. Akwarele jego mają koloryt delikatny, lecz silny i czysty, czysty jak świat spłukany letnią ulewą. Jest w nich poza formalną i czystość inna: świeżość duchowa — nie śmiejcie się — młodego i skromnego chłopca. Zmysłowość barwy tu nie istnieje. (W. P.)

# ZMARLI

## Ś. P. ZDZISŁAW DĘBICKI

ZMARŁY dnia 7-go maja ś. p. Zdzisław Dębicki urodził się w Warszawie w 1871 roku z ojca Gustawa i matki Aleksandry z Kowalskich, właścicieli Huty Łokackiej na Wołyniu. Po ukończeniu gimnazjum wstąpił w 1891 r. na uniwersytet warszawski, gdzie z początku studjował medycynę, którą wkrótce porzucił dla prawa.

Będąc już na trzecim kursie wziął udział w 1894 r. w manifestacji politycznej z powodu setnej rocznicy powstania Kilińskiego, co pociągnęło za sobą dla niego naprzód kilkomiesięczne więzienie (na Pawiaku), a następnie zesłanie do Orska, gubernji orenburskiej. Amnestjonowany po roku, z powodu wstąpienia na tron Mikołaja II, pozbawiony prawa kontynuowania studjów uniwersyteckich w państwie rosyjskiem, udał się do Lwowa, gdzie po paru latach chlubnie ukończył prawo, próbując jednocześnie sił swoich na polu literatury i publicystyki. Pisywał w wydawanym w tym czasie przez R. Dmowskiego „Przeglądzie Wszechpolskim", artykuły publicystyczne, w „Słowie Polskiem" natomiast umieszczał pierwsze swoje feljetony literackie. Po czteroletnim pobycie we Lwowie powrócił Z. Dębicki do Warszawy, już jako znany w kołach literackich autor paru zbiorków poetyckich oraz wielu artykułów krytycznych, co też ułatwiło mu odrazu dalszą pracę zawodową. Z początku pracuje w „Gazecie Polskiej", redagowanej podówczas przez Jana Gadomskiego, a także w „Bibljotece Warszawskiej", której kronikarzem był do 1912 r. W 1909 roku rozpoczyna swoją pracę sprawozdawczo-literacką w „Kurjerze Warszawskim", którą prowadzi bez przerwy aż do zgonu swego. W tym okresie czasu był nadto jeszcze długie lata redaktorem „Tygodnika Illustrowanego", a także kierownikiem literackim „Bibljoteki Dzieł Wyborowych" (od 1906 r. — do 1914).

Te, tak liczne i wyczerpujące, zajęcia dziennikarskie i redaktorskie, którym się oddawał, pełniąc sumiennie obowiązki względem rodziny własnej (ś. p. Z. Dębicki zaślubił w 1900 r. Zofję z Wierzbickich, córkę prof. astronomji w Krakowie) oraz względem społeczeństwa, nie wiele pozostawiały czasu zmarłemu na urzeczywistnianie szerszych zamierzeń i umiłowań literackich, nie pozwalały oddać się wyłącznie twórczości poetyckiej.

I tu jednak, dzięki sile ukochań swoich oraz hartowi ducha, potrafił zmarły osiągnąć wiele jako poeta, jako artysta niezależny, nie schodząc przytem ani na jedną chwilę, z drogi swych codziennych obowiązków.

Utwory poetyckie ś. p. Z. Dębickiego ogłoszone zostały w zbiorkach: „Ekstaza", „Noce Bezsenne", „Święto Kwiatów", „Kiedy ranne wstają zorze", „Ojcze Nasz. Modlitwy Wieczorne", „Oglądam się za siebie" i in.

Prócz tego napisał zmarły sporo dzieł użytecznych, roznoszących wiedzę ogólną oraz kulturę narodową w szersze masy czytelników. Tu wymienić należy tego rodzaju prace zmarłego jak: „Książka i Człowiek", „Miasteczko", „Podstawy Kultury Narodowej", „Narodziny Ideału" i t. p W ostatnich paru latach ogłosił dwa tomy wspomnień swoich, których pierwsza część (p. t. „Grzechy młodości") obejmuje czasy studjów uniwersyteckich w Warszawie, a następnie wygnania orenburskiego, część druga zaś (p. t. „Iskry w Popiołach")— czasy studjów lwowskich.

Należytą ocenę działalności pisarskiej ś. p. Z. Dębickiego — odkładamy na później, wiele bowiem rzeczy należałoby ta uwzględnić, których nie mamy pod ręką, o człowieku wszakże, o pracowniku w ciężkim i odpowiedzialnym zawodzie, jaki mu losy wyznaczyły, możemy w każdej chwili powiedzieć, że pod względem prawości, wysokiego poczucia obowiązków zawodowych, bezinteresowności w pełnieniu służby publicznej mało miał sobie równych wśród współczesnych i mógł służyć wzorem dla najlepszych. Tracąc w nim jednego z bliskich nam kolegów i długoletnich przyjaciół, żegnamy go z prawdziwie głębokiem uczuciem żalu, jak się żegna ludzi kochanych i szanowanych.

# NOWE KSIĄŻKI

Pomarański Stefan. Djarjusz Senatu z r.1830-31. Kraków 1929. Pol. Akademja Umiej. Str. 211.

Dębicki Zdzisław. Iskry w popiołach. Poznań 1931. Księg. św. Wojciecha. S. 295.

Allan Poe Edgar Opowieść Artura Gordona Puma. Przekł. Stan. Sierosławski. Poznań 1931. Wyd. Pol. R. Wegner.

Krzesiński Andrzej ks. Pozytywizm i modernizm a polskie duchowieństwo. Warsz. 1928. Gebethner i Wolff. S. 47.

Brudzewski T. Cyklon. Powieść. Księgarnia św. Wojciecha.

Poker Jim. Kobiety w pociągu. Z ilustr. Poznań. Księg. Św. Wojciecha.

Bąkowski Stanisław. Z raju i podziemia. Warsz. 1931. F. Hoesick (Poezje)

Posner-Szczygielski. Zenon. Dokąd? Rzecz o ideologji społecznej. Łódź 1931. S. 83.

Wiktor Jan. Zwarjowane miasto. Powieść. Poznań. Wyd. Pol. R. Wegner.

Wasylewski Stanisław. Lwów. Cuda Polski IV. Poznań 1931. Wydaw. Polskie R. Wegner S. 175 z wielu ilustr.

Webster Jan. Właśnie Inka. Powieść z życia amerykańskich pensjonarek. Poznań. R. Wegner.

Saga o Gislim wyjętym z pod prawa i inne sagi islandzkie. Opracował Artur Górski. Warsz. 1931. Dom Książki Polskiej. S. 374.

Nałkowska Zofja. Ściany świata. Warsz. Gebethner i Wolff.

Nałkowska Zofja. Dzień jego powrotu. Dramat w 3 aktach. Warsz. Gebethner i Wolff.

Sienkiewicz Henryk, Pisma. W układzie Ign. Chrzanowskiego. Tomy 33, 34, 35 i 40 (nowele). Nakład Ossolineum oraz Gebethner i Wolff.

Tarnawski Władysław, prof. Szekspir. Lwów 1931. Ossolineum. S. 301.

Karpiński Stanisław. Pamiętnik dziesięciolecia 1915 — 1924. Warsz. 1931. F. Hoesick. S. 344.

Bourgeois Emile. Duch dziejów Francji. Warsz. 1931. F. Hoesick S. 239.

Niepodległość. Czasopismo. Warsz. 1931. F. Hoesick. Tom IV, zesz. 1.

Zakrzewska Helena. Dzieci Lwowa. Wyd. VII. Warsz. 1931. Dom Książki Polskiej.

Dąbski Jan. Pokój Ryski. Wspomnienia, pertraktacje, tajne układy z Joffem. Listy. 215 ilustr. Warsz. 1931. S. 225.

Klub Narodowy przeciw umowom z Niemcami. Poznań 1931. Str. 64 (2 szpal.). Odbitka z „Kurjera Pozn." (nr. 118 — 130).

Rzewnicki Jan. Bohaterowi (St. Bechi). Obraz dramatyczny. Warsz. 1931. Koło Polsko-Włoskie. Dom Książki Polskiej.

Staff Leopold. Pisma. Pierwsze wydanie zbiorowe. I. Sny o potędze. II. Dzień duszy. Wydaw. J. Mortkowicza.

# OFENSYWA

## ZMIERZCH BOŻKÓW

MURY Jerycha zaczęły się rozpadać i walić z momentem, kiedy zagrały trombity izraelskie.

Dawniej można było sceptycznie się odnosić do tych trąb legendarnych; teraz już człowiek w nie wierzy. Grali na tych trąbach przecież antenaci i praszczurowie dzisiejszych wirtuozów propagandy i reklamy. Teraz dopiero można zbliska i gołem okiem obserwować, jak te trąby świetnie grają, gdy trzeba coś zwalić, ale równocześnie jakie hejnały i hosanny z nich rozbrzmiewają, kiedy wypadnie coś podnieść, postawić wysoko i rozsławić. Pod tym względem ci trębacze są nietylko nieocenieni, ale wprost bez żadnej konkurencji, *non plus ultra*. Patenty na międzynarodowy autorytet i firmę rozdają wyłącznie oni. Niema już mowy o tem, żeby ktoś gdzieś przedostał się za płoty graniczne bez ich konsensu. Natomiast gdy już kto raz zaasekuruje się w międzynarodowej loży: „*Pro Izrael*“, ten, o ile coprawda ma 60% danych „do tego“, łatwo z lokalnej domorosłej znakomitości może się stać sławą globalną. Na słabsze konie stawiają (trzeba im to przyznać) dość rzadko, na szkapy zołzowate nigdy; to też wyrobili już sobie światową markę wytrawnych koneserów i ekspertów i znawców.

Swoich ludzi oczywiście forytują najaktywniej i najdynamiczniej, bez pardonu i bez ceremonji. Niech tylko stwierdzi i udowodni taki jeden z drugim, że ma duże kwalifikacje i piękne predyspozycje, to już nań chuchają, dmuchają, podniecają, podlewają, popychają, pielęgnują, kultywują, forsują, doppingują, aż wreszcie nawet taki sobie przeciętuik z 50 procentowym talentem daje ze siebie coś na 60% i staje się z Piątku na Sobotę stuprocentową *celebrité*. Najpierw roztacza się koło niego krzykliwy harmider, potem ogłuszający rejwach, wreszcie przychodzi literalna sława. Czy to atoli jest sława w dawnem, staromodnem tego słowa znaczeniu *(gloire, glory)* trwała, ciągła, wieczysta? Nie. To jest sława—rozgłos, sława „tam — tam“: konjunkturalna. I te znakomitości są konjunkturalne. I te dzieła, odkrycia, wynalazki, zasługi są konjunkturalne. Nieśmiertelność na lat *maximum* dziesięć. Wystarczy. Co rok, co *season* inna, ale każda na lat dziesięć najwyżej. Niektóre krócej: pięć lat. Niektóre: dwa lata. Łatwo są narzucane światu, ale szybko też rozpływają się w niepamięci. Łatwo się świat z nową gwiazdą na firmamencie oswaja, ale lekko stosunkowo zapomina o niej z kretesem: wielkości konjunkturalne.

Po wojnie europejskiej nastała inflacja na tych gigantów konjunkturalnych, na tych sezonowo-nieśmiertelnych, na te komety z łaski i z pośród narodu wybranego, komety w nauce, w poezji, w sztukach plastycznych, w muzyce, w teatrze, no i w kinie, w produkcji filmowej (gdzie rządzą autokratycznie). Iluż to w tym dziesięcioletnim czasokresie przeżyliśmy genjalnych reformatorów teatru, ilu genjalnych reżyserów filmowych, iluż twórców nowych metod, manjer i stylów literackich. I każdy taki talmi czy semigenjusz trwa sezon, dwa sezony, pięć sezonów, by po krótkotrwałem promieniowaniu ciemnieć, gasnąć i przepadać. I nie oni sami (genjusze konjunkturalni) sprzykrzyli się i znudzili współczesności, tylko ten harmider i rejwach koło nich, im był hałaśliwszy, jaskrawszy i jazzbandycki, tem szybciej wymęczył i wyczerpał cierpliwość ogółu.

Ostatnio udało się narzucić obu półkulom dwie takie kometowe, sezonowe, konjunkturalne wielkości. Właściwie udało się: dwieście, ale my tu weźmiemy pod światło „Jupitera“ trzy archisławy, t. j. Ludwiga i Chaplina. Wrzask koło nich i z nimi wyczyniony przeszedł wszelkie granice przyzwoitości. Tak kiedyś musieli tańczyć i skakać koło „Złotego Cielca“, i nie można się dziwić, że ta furja dewocji i reklamy do białej pasji doprowadziła Mojżesza.

Kolosalnym szarlatanom w literaturze jest znakomity as macarstwa anonimowego Emil Ludwig Cohn. Fabryka jego „arcydzieł“ znajduje się nad Lago Maggiore w wytwornej willi, którą ten archipaskarz pióra sobie tam wybudował. W jednej osobie reporter oraz komiwojażer reportażu, tudzież „najgłębszy psychograf stulecia“, historyk (w kieszonkowem wydaniu) i portrecista największych wielkości wszechwieków. Odkąd udały mu się pierwsze w Brandesowskim stylu „*vie romancée*“ odtąd został podniesiony z dzikim rejwachem na tarczę, okrzyknięty „Plutarchem“ epoki. 1.300.000 egzemplarzy jego wyrobów beletrystyczno-historycznych rozeszło się po samych Niemczech *(Lesefutter)*, współwyznawcy Cohna przetłumaczyli go na wyścigi na 19 języków świata, i namiętnie owacjonowano go w Nowym Jorku, w Kalifornji, w Hollywood, w Sorbonie i wogóle wszędzie tam, gdzie Izrael gra na pierwszych skrzypcach, a Jankiel na cymbałach. Ze swoim *l'esprit* (le sprytem) czepiał się „najgenjalniejszy psychograf“ wszystkich sław świata i natrafiwszy na dobrą konjunkturę zarabiał miljony i bluffował miljony.

Obecnie gwiazda gaśnie. Udowodniono mu czarno na białem, że w „genjalnym portrecie“ Michała Anioła splagjował bez ceremonji zgoła nieznanego Karola Freya, na co Cohn się bronił „twórczą wolnością“ *(Frey-heit)*. Ostatnio zaś wyszło w Niemczech *opus* o Emilu Ludwigu Nielsa Hansena („*Der Fall E. Ludwig*“ *Verlag Gerhard Stalling*. Oldenburg), gdzie cały rekordowy dorobek literacki dzielnego Cohna poddano druzgocącej rewizji i likwidacji. Aczkolwiek na rewelacje Nielsa Emil Ludwig odpowiedział zaraz tysiącstronicowym tomem autobiograficznym („*Geschenke des Lebens*“ 1931), w którem, stojąc na szczudłach swej wielkości konjunkturalnej, rozczulająco ckliwie, jako „dobry europejczyk“ się broni, to jednakże E. Ludwig w opinji intelektualistów niemieckich już leży i, co znów podnieść należy, rżnie go już i skalpuje bezlitośnie nawet pansemicka „*Frankfurter - Zeitung*“. Jeszcze tylko nasz p. Wasserzug-Wasowski aż się zachłystuje z rozkoszy intelektualnej, gdy trzyma w ręku nowy tom *vielschreibera* z nad Lago Maggiore.

Drugie benkele to z tym Charlie Chaplinem. Też niby coś gdzieś stanęła umowa, że to genjusz nad genjusze, większy od Joelsona, od Abela Gance'a, od Chaifeca, od Chagalla, od Aronsohna, od Idy Rubinstein, od prof. Freuda, od Steinacha, od Einsteina, poprostu jakieś *cor cordium* Izraela, jakiś symbol. Owszem, wielki talent, miły talent, wzruszający wśród śmiechu do łez. Ale ten rejwach zaraz, ten harmider, ten ryk entuzjazmu i reklamy: obrzydliwe. Teraz niby: zenit. Trjumfalny objazd po Europie. Ghetta w ekstazach. „Tam-tam“ ogłuszający. W Londynie recepcje. Korespondenci, między nimi niejaki Krakauer (dosłownie: Krakauer), wypisują: *lady* Astor, księżna Rutland, księżna Westminster, markiza Londonderry na rękach go noszą... Shaw, G. B. Shaw nieco zwapniały na ostatnie lata, też się z nim fotografuje, byle Izrael nadal Shawa podtrzymywał

I idzie oczekiwany powszechnie nowy film: „Światła Wielkiego Miasta“ poprzedzony jazzbandycką, rozwścieczoną, zacharkaną reklamą. Chaplin reżyserował, grał i napisał muzykę, będzie chyba arcydzieło.

I jest klapa. Cztery lata pracy i fiasko. Pustki. Treść ściągnięta z jakiegoś wodewilu wiedeńskiego. Udowadniają *pointy* i kawały ze znanych anegdot. Muzyka z Raquel Meller „*Violetty*“ i innych *chanson*'ów. Klapa taka jak z „Końcem Świata“ Abla Gance'a *recte* Grüza.

Przeciągneliście strunę, przeszarżowali, przeholowali. Ten rejwach i harmider już ludzkości obrzydł. Monopolu na talenty i geniusze nie macie. Rodzą się jeszcze i wśród Arjów, nawet „najmłodszych Arjów“. Tem się zaś różnią, że nie są ani sezonowe ani konjunkturalne.

ADOLF NOWACZYŃSKI

# NA MARGINESIE

„Gazeta Polska“ w uroczystym artykule „Spojrzenie wstecz“ (nr. 130) takie wystawia świadectwo dyktaturze 1926 — 1931:

„W ciągu tego czasu dokonały się w Polsce rzeczy, z których możemy być dumni. Przełom majowy przyszedł pod hasłem n a p r a w y m o r a l n o ś c i publicznej i wzmocnienia s i ł y ż y w o t n e j p a ń s t w a. Z podniesionem czołem i z głębi duszy idącem przekonaniem stwierdzamy, że oba te c e l e z o s t a ł y o s i ą g n i ę t e“.

Do pełnego szczęścia brak tylko małej drobnostki, mianowicie żeby społeczeństwo polskie to zadowolenie podzielało. Ale czyż „naród idjotów" może się poznać na rzeczach genjalnych?

*

Do Boya - Żeleńskiego — jak opowiadają — zgłosiła się deputacja żydowska z prośbą, aby zaczął więcej pisywać dla czytelników polskich, dotychczasowa bowiem jego propaganda na rzecz wolnej a bezpłatnej „miłości“ osiągnęła ten skutek, że zmniejszył się przyrost ludności żydowskiej. Statystyka odnośna rzuca cień na dobre imię Boya; jeszcze jeden artykuł tej treści źle ulokowany, a utrwalić się może opinja, że jest antysemitą, a więc politycznie nieprawomyślnym.

*

„Kurjer Wileński“ (nr. 103) donosi: „Zapowiedziana najnowsza praca Marszałka Piłsudskiego pod tytułem „Poprawki Historji“ ukaże się na półkach księgarskich jeszcze w bieżącym tygodniu“.

*

Bolszewicy swój stosunek do historji ujmują w olśniewający aforyzm: „*Istorja — eto oszibka. Naczniom snaczała*“.

**TREŚĆ:** 

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57! PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.